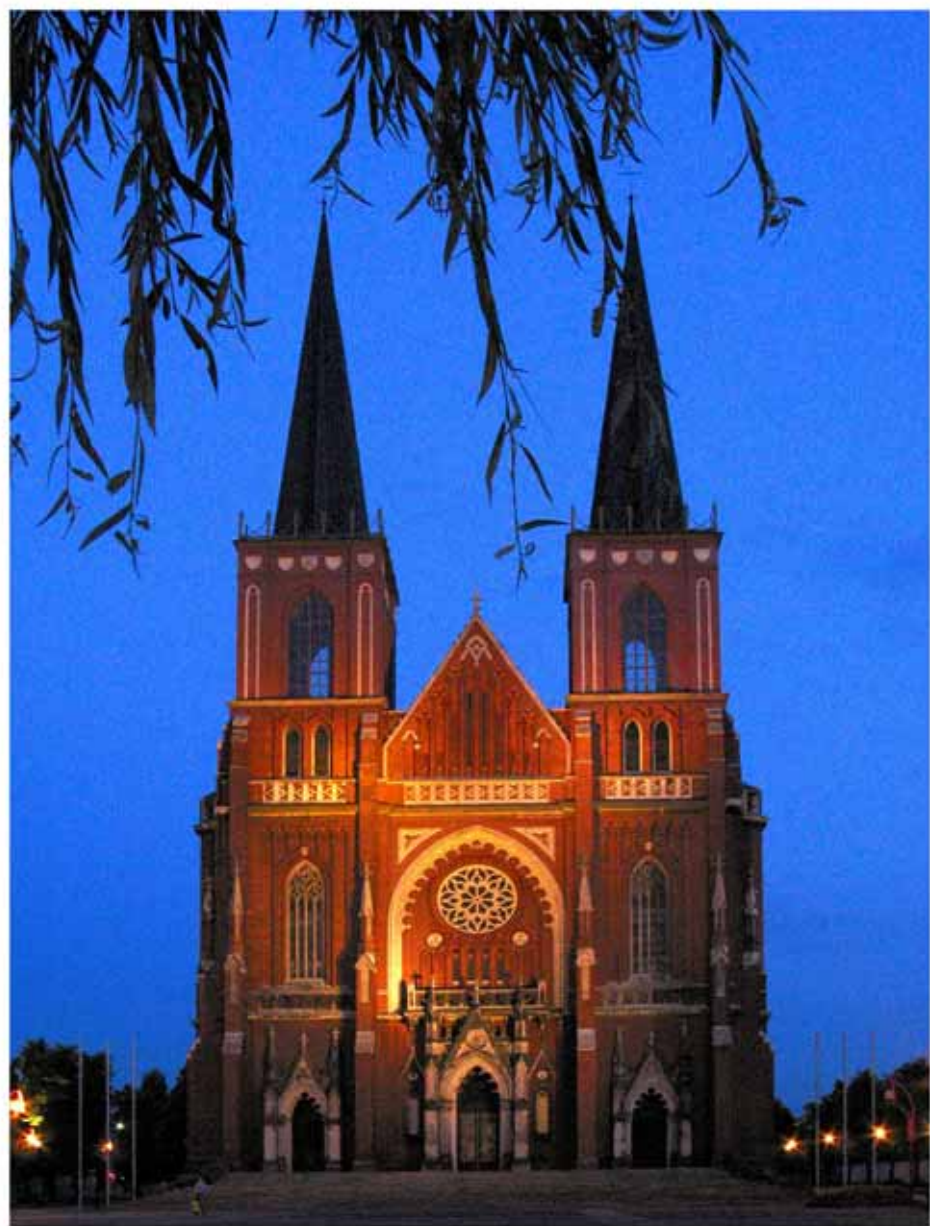


aleje 3

NUMER 72 grudzień - kwiecień 2009
ISSN 1477-8432 CENA 3 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





Fot. Leszek Pilichowski

aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

Świat miga i zmienia się nieustannie. Zmiany we wszystkich dziedzinach życia zachodzą szybciej, niż kiedyś. Zmienia się także nasz punkt widzenia, więc coś, co kiedyś uznawaliśmy za stałe i niezmiennie, podlega krytycznej ocenie poprzez rozum (albo ignorancję). Dawne zdobycze wiedzy, dostępne tylko doktorom Faustom, dziś nauczane są w szkołach na poziomie podstawowym, jak na przykład większość zjawisk z chemii czy fizyki, których jeszcze dwieście lat temu nie uczono nawet na uniwersytetach. Dziś ufamy przede wszystkim wiedzy i doświadczeniu. Prawie wszystko poddaliśmy empiryce i prawie wszystko umiemy zmierzyć, zważyć i opisać – istnieją gotowe wzory na finanse, przemysł i hodowlę, a także na zdrowie, miłość i sztukę.

Sztuka była kiedyś związana przede wszystkim z sacrum, tak w zakresie inspiracji, jak wykonania i odbioru. Z czasem jednak, bo czas wszystko zmienia, coraz bardziej zbliżyła się do profanum i dziś istnieją całe jej gałęzie, techniki i środowiska artystów, a my bez większego zdziwienia tolerujemy postawę daleką od wiary i świętości. Nawet najbardziej ortodoksyjni obrońcy wartości dostrzegają w sztuce element przede wszystkim ludzki i rzadko komu przychodzi do głowy naśladować papieża Hadriana, który planował zamalować wapnem sklepienie kaplicy Sykstyńskiej, żeby zakryć bezwstydną rysunki Michała Anioła.

Książę elektor saski Fryderyk, późniejszy protektor Marcina Lutra, miał na swoim zamku bardzo sławny zbiór świętych relikwii. Zbiór liczył ponad pięć tysięcy pozycji, a ilustrowany przewodnik po tej niezwykłej kolekcji wyszedł spod ręki Łukasza Cranacha. Wśród eksponatów wiele było takich, o których dzisiaj ani przez chwilę nie pomyślelibyśmy, że są przedmiotami czci albo dziełami sztuki - siano ze żłobka, w którym leżało Dzieciątko, truchelko dziecka zgładzonego w Betlejem z rozkazu króla Heroda. Nasze dzisiejsze stanowisko podpowiada wiedza i doświadczenie. Te nauczyły nas stawiania pytań i znajdowania odpowiedzi. Nie wystarczy autorytet, potrzebujemy dowodów, ekspertyz, opinii naukowych.

Na wszystko jednak nie potrafimy odpowiedzieć nawet dzisiaj i czasem łapiemy się na myśli, jak to dobrze, że nie wszystko jest rozłożone na czynniki pierwsze i naukowo odarte z tajemnicy. Bo choć świat zmienia się nieustannie, człowiek wydaje się niezmienny w swojej istocie. Tak samo naiwny i czysty jak dawniej, trzeba go nauczyć wszystkiego od początku, od podstaw.

W zakresie sztuki zaczynamy od rzeczy banalnych. Od wy tłumaczenia uczniom, że w teatrze należy zachowywać się nieco inaczej niż w kinie. W kinie można pić coca-cola, jeść chipsy i batoniki. W teatrze tego nie praktykujemy, i nie z powodu braku bufetu dla publiczności. W teatrze nie szeleścimy papierkami - mówi pani do dzieci. A dlaczego nie szeleścimy? - pytają. Bo nie będzie sły chać aktorów. A czemu nie będzie sły chać, nie mają mikrofonów? Według młodzieży technika powinna docierać wszędzie, ułatwiać życie. Wymaganie wysiłku w zakresie skupienia się, zachowania czysty dla wysłuchania tekstu lub muzyki, to rzecz tak okropnie przestarzała i nienowoczesna. Ale i dzisiaj potrzebujemy zachowań konserwatywnych, ponieważ nie możemy zapomnieć o czymś najważniejszym i absolutnie niezbędnym. O źródłach.

Marian Piotr Rawinis

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Archikatedra Świętej Rodziny

Przez długie wieki jedynym kościołem parafialnym dla całej Częstochowy był staromiejski kościół św. Zygmunta. W roku 1892 podjęto decyzję budowy na jego miejscu nowej świątyni parafialnej w stylu neogotyckim. Ostatecznie władze kościelne postanowiły zbudować nowy kościół na dużym placu przy ul. Krakowskiej. Archikatedra Świętej Rodziny w Częstochowie powstawała jako kościół budowany dla przyszłej parafii, która miała być wydzielona z parafii św. Zygmunta.

Projekt nowego kościoła opracował i ukończył w 1900 r. Konstanty Wojciechowski (1841-1910), w obszarze architektury sakralnej z pewnością najwybitniejszy twórca drugiej połowy XIX wieku. Neogotyck w warunkach zaboru rosyjskiego, zwłaszcz po upadku Powstania Styczniowego, miał charakter stylu patriotycznego, podkreślającego odrębność od architektury rosyjskiej i akcentującego organiczny związek z Zachodem. Według *Kroniki Parafii Świętej Rodziny w Częstochowie* inicjatorem budowy nowego kościoła był ks. Sylwester Baranowicz, wikariusz parafii św. Zygmunta. Przyswiecała mu idea, iż tym razem to nie moiżni są fundatorami, ale nowy kościół musi powstać ze składek wielotyśięcznych rzesz wiernych, najczęściej ludzi pracy – robotników, pracowników umysłowych, rolników. Apel ks. Baranowicza spotkał się z wielką ofiarnością wiernych. Pierwsze prace budowlane rozpoczęte zostały w roku 1900. Prowadził je ks. Sylwester Baranowicz i ks. prał. Konstanty Waberski, proboszcz parafii św. Zygmunta. Dnia 7 września 1902 roku odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego.

Od początków budowy działał wybrany społecznie Komitet Budowy. Z końca roku 1904 „las rusztowań okalał

widoczne zewsząd mury największej w Polsce świątyni” - napisano w *Kronice*. W roku 1905 ułożono mozdrowiewo wiązania dachowe i przykryto je, a następnie pokryto dachówką.

Budowany w dzielnicy robotniczej kościół początkowo miał nosić wezwanie św. Józefa. Jednakże wskutek ogłoszenia przez papieża Leona XIII encykliki na temat Świętej Rodziny zdecydowano się na zmianę wezwania świątyni, którą poświęcono właśnie Świętej Rodzinie. Kościół został poświęcony w dniu 7 grudnia 1907 roku przez przeora jasnogórskiego konwentu Ojców Paulinów, o. Euzebiusza Rejmana.

W roku 1917 biskup włocławski Stanisław Zdzitowiecki erygował parafię Św. Rodziny. Na pierwszego proboszcza mianowany został ks. Bolesław Wróblewski. Nowa parafia obejmowała lewą część śródmieścia aż po Park Staszica, Ostatni Grosz, Stradom oraz kilka wsi za Rakowem.

W roku 1919, dzięki zabiegom proboszcza i ofiarności wiernych, którzy przeprowadzili specjalną zbiórkę złomu miedzi i innych cennych metali, zakupiono dwa duże dzwony. Życie religijne rozwijało się coraz lepiej, a dla kolonii Francuzów z Ostatniego Grosza ks. proboszcz Wróblewski zorganizował specjalne nabożeństwa w języku francuskim, w obecnej kaplicy Najświętszego Sakramentu, którą nazywano „Francuską”. Po uniesieniu religii ze szkół w latach pięćdziesiątych służyła ona jako salka katechetyczna.

W roku 1920 nuncjusz apostolski w Polsce Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI, zwiedzał budujący się kościół i wyraził swój podziw dla jego „wielkości i piękna”, mówiąc, iż będzie to w przyszłości nowa katedra biskupia. W roku 1921 rozpoczęto prace przy fasadzie kościoła. W roku 1922 wzniesiono wielką arkadę kamienną i gzymś główny. Imponującym dziełem jest gotycka kamieniarka katedry. Roboty, wykonane misternie i z niezwykłym wyuczuciem stylu, są dziełem miejscowych kamieniarzy.

28 października 1925 roku Ojciec Święty Pius XI

bullą *Vixidum Poloniae unitas* dokonał nowej organizacji kościoła w Polsce. Dotychczasowy kościół św. Rodziny został podniesiony godności i funkcji katedry nowo utworzonej diecezji częstochowskiej. Pierwszym ordynariuszem diecezji został ks. bp dr Teodor Kubina (1880-1951). Uroczystość święceń biskupich odbyła się 2 lutego w Jasnej Górze, a konsekratorem był biskup krakowski Adam Sapia przy współudziale bp. Augusta Hlonda z Katowic i bp. Augustyna Łozińskiego z Kielc. Tego samego dnia



Widok katedry z 1939 r.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

pierwszy biskup częstochowski odbył ingres do kościoła katedralnego Świętej Rodziny. Jako prezent z okazji swej konsekracji bp Teodor Kubina otrzymał w darze od ojców paulinów z Jasnej Góry znakomitą i wyjątkowo wierną kopię Obrazu Jasnogórskiego, wykonaną w latach 1925-26 przez prof. Jana Rutkowskiego.

Niedługo po nominacji nowy biskup wyjechał na Kongres Eucharystyczny do Chicago i przy okazji wizytował parafie polonijne w Stanach Zjednoczonych. Ogłoszony przez niego apel do Polonii o pomoc w dalszej budowie katedry przyniósł obfite rezultaty finansowe. I tak już w roku 1926 zasklepieno nawy boczne, wykonano sklepienia pod wieżami i wzniesiono chór organowy. W 1927 roku oszklono i otynkowano wszystkie nawy kościoła, wycementowano podłogę, ułożono granitowe schody pod fasadą katedry oraz wykonano części konstrukcyjne kamiennego portalu głównego. Wraz z wykonaniem tych prac można było uznać dzieło budowy katedry częstochowskiej za ukończone. W 1927 roku katedrę uroczystie otwarto i oddano do użytku wiernych. Była ona jednak zupełnie pusta, nie licząc najbardziej prowizorycznego wyposażenia.

Katedra częstochowska należy do najwybitniejszych dzieł Konstantego Wojciechowskiego i stanowi przykład najbardziej czystych w swej formie inspiracji klasycznym gotykiem francuskim. W szczególny sposób ujawnia inspirację paryską katedrą Notre Dame. Czytelne jest to w widokach od strony prezbiterium i transeptu oraz w dyspozycji wnętrza, w śmiało przerzuconych w przestrzeni łukach oporowych o pięknych liniach i wielkiej lekkości propor-

cji, podtrzymujących sklepienia prezbiterium i nawy nazewnątrz, imponujących rozetach w ścianach szczytowych, rzeźbiarskich sterczynach, zwieńczeniach i gzymsach.

Cechą szczególną katedry częstochowskiej, niespotykaną w takim stopniu w żadnej z naszych świątyń neogotyckich, jest obecność znacznej ilości kamienia wapiennego i piaskowca, kontrastowanego z czerwienią cegły. Można w tym odczytać świadomy zamiar architekta połączenia inspiracji gotykiem francuskim z rodzimą i najbardziej polską formą gotyku ceglano-kamiennego, charakterystyczna dla Małopolski, a zwłaszcza kościołów Krakowa.

Biskup Kubina, miłośnik i kolekcjoner sztuki, przyjaciel wielu artystów i naukowców (m.in. malarz Jan Henryk Rosen, Leon Wyczółkowski, rzeźbiarz Zygmunt Gawlik – twórca monumentalnego stylu modernizmu w polskiej architekturze sakralnej, ks. prof. Tadeusz Kruszyński, znawca sztuki starochrześcijańskiej i średniowiecznej) opracował kompleksowy, perspektywiczny plan wyposażenia katedry. Pierwszym posunięciem biskupa było ofiarowanie katedrze podarowanej mu przez paulinów kopii Obrazu Jasnogórskiego. Praca prof. Jana Rutkowskiego uchodzi za najwierniejszą kopię Obrazu Jasnogórskiej Bogurodzicy i jest pierwszym kultowym ukazaniem Matki Bożej Częstochowskiej jako ikony, bez żadnych przybrań. W planach biskupa Kubiny było powstanie trzech dużych ołtarzy – głównego, w prezbiterium pw. Św. Rodziny, a w zakończeniach naw transeptu dwóch innych: Chrystusa Króla i Królowej Korony Polskiej, Patronki diecezji. Określił również tematykę poszczególnych witraży. Niezmordowanym realizatorem postulatów bp. Kubiny był proboszcz katedry, ks. prał. Bolesław Wróblewski. Najprawdopodobniej do roku 1934, zrealizowano witraże w prezbiterium. Ich autorami byli Jerzy Edward Winiarz i Jan Henryk Rosen. Witraże Winiarza o tematyce Bożego Narodzenia cechuje pewna monumentalna dynamiczność kompozycji i dekoracyjność oraz wspaniała barwność.



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Jego witraże w absydzie prezbiterium należą do najwybitniejszych realizacji witrażowych w Polsce okresu międzywojennego. Po tragicznej śmierci Winiarza, który ratował tonące dziecko, dalsze projektowanie powierzono Janowi Henrykowi Rosenowi. Cztery zaprojektowane przez niego witraże w przeszłach prezbiterium, których tematem jest dzieciństwo Jezusa, cechuje harmonijny spokój i równoważony koloryt tonów niebiesko-zielonych.

Również w latach 1929-32 ukończono przepiękny portal główny z kamienia ciosowego i zwieńczono go „śliczną gotycką rozetą”. W 1935 ufundowano wielki pamiątkowy dzwon ku czci Najświętszej Maryi Panny, Królowej Polski w dziesięciolecie powstania diecezji. W czasach międzywojennych częstochowską katedrę wzbogaciły cenne dary. Jednym z nich jest monumentalna figura Matki Bożej z gorzącym sercem, wykonana we Francji w drewnie polichromowanym w XIX w., ofiarowana do katedry przez francuskich właścicieli fabryki włókienniczej w Częstochowie. Drugim darem jest wielkich rozmiarów kopia Wniebowzięcia Matki Bożej, wykonana w początkach XIX w., wyjątkowo wiernie oddająca oryginał kompozycji Piotra Pawła Rubensa (1577 – 1640), znajdującą się w Brukseli w Królewskim Muzeum Sztuk Pięknych. W katedrze częstochowskiej jest to dzieło najcenniejsze z artystycznego punktu widzenia. Zakup kopii przypisywany jest bp. Kubinie. Również kartony Jana Henryka Rosena, zawieszane na ścianach obydwu skrajnych kaplic nawy poprzecznej i zrealizowane z małymi zmianami w kaplicy Piusa XI w Castel Gandolfo zostały najprawdopodobniej zakupione przez bp. Kubinę.

W latach trzydziestych bp Kubina intensywnie pracował nad koncepcją ołtarza głównego i przystępował do wstępnych działań nad jego realizacją. Narysował cztery spośród sześciu kompozycji na skrzydłach ołtarza i w takiej postaci przekazał artyście projektującemu ołtarz i wnętrze prezbiterium, Zygmuntovi Gawlikowi (1895-1961). Budowa ołtarza rozpoczęła się już przed wojną. Jego koncepcja w całości jest dziełem bp. Kubiny, z wyjątkiem zmiany kompozycyjnej sceny centralnej za czasów bp. Golińskiego, gdy ołtarz był jedynie kończony. W koncepcji ołtarza widać fascynację bpa Kubiny starym Krakowem, a szczególnie Ołtarzem Mariackim Wita Stwosza. Zachowany projekt Gawlika, nad którym rozpoczął prace w 1936 r., jest bliski dziełu zrealizowanemu. Zasadnicza różnica to koncepcja sceny centralnej, która pierwotnie miała przedstawiać Świętą Rodzinę adorowaną przez przedstawicieli różnych stanów. U góry całej kompozycji przewidziane było wyobrażenie pięciu postaci – zapewne świętych polskich. Również kompozycja z wyobrażeniem



Fot. Zbigniew Burda

Trójcy Świętej, wypełniająca przestrzeń ponad ołtarzem, została pomyślana w projekcie w sposób prosty, znakowy i symboliczny, a głównym jej przedstawieniem było wyobrażenie Ukrzyżowanego Chrystusa w kole, z czterema promieniami (domyślna obecność Boga Ojca), z gołębicą, symbolizującą Ducha Świętego. Natomiast kompozycje na skrzydłach zrealizowanego tryptyku ołtarzowego w większości odpowiadają ukazany na modelu scenom z życia św. Rodziny.

Do prac nad realizacją ołtarza bp Kubina przystąpił wiosną 1938 r. Zwrócił się do firmy zdobniczo - złotniczej Antoniego Małka w Częstochowie ze zleceniem wykonania całej „struktury” retabulum ołtarzowego. Latem w warsztatach firmy przebito trzy mniejsze pomieszczenia w jedno tak, by móc kleić słupy nośne ponadosiometrowej długości oraz sprowadzono z Wołynia specjalnie trwałe drewno dębowe. W roku 1939 prace nad ołtarzem zostały wstrzymane. Obok ciężkiej kryzysowej sytuacji społeczeństwa miało na to wpływ przeznaczenie kościelnych środków finansowych na sierociniec założony i prowadzony przez ks. Wróblewskiego. Również przecucie wojny mogło być przyczyną przerwania prac.

Niemcy byli w Częstochowie 2 września. 3 września spędzili na plac przed katedrą ok. 4 tysięcy ludzi, wśród nich był również ks. prał. Wróblewski. Znaczną część spędzonych ludzi rozstrzelano, a setki trupów pogrzebano



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

na placu katedralnym. Prałat Wróblewski ocalał. W czasie okupacji pomagał wszystkim, również Żydom. Niemcy parokrotnie nachodzili plebanię katedralną. W trakcie jednego z tych najść siostra prałata Wróblewskiego uległa ciężkim obrażeniom i zmarła. Jej śmieć prałat przeżył głęboko, ale działalności nie zaprzestał. Usiłował ochraniać katedrę przed różnymi niebezpieczeństwami. Udało mu się – przy pomocy inż. Jana Skrzyneckiego – ukryć największy dzwon katedry. Dwa inne Niemcy zabrali i przepotopili na armaty. Zaraz po wojnie przystąpiono do prac w katedrze. W latach 1945 – 46 rzemiosło częstochowskie własnymi siłami pomalowało wnętrze na kolor kremowy. W latach 1946-49 zbudowano wielkie, drugie co do wielkości w Polsce, organy o 101 głosach.

W roku 1947 z polecenia bp. Kubiny wznowiono w firmie Małka prace nad budową „struktury ołtarza” głównego. Obok konstruowania „struktury” nastawo ołtarzowej wykonywano odpowiednich rozmiarów płyciny drewniane, które były posyłane do Krakowa, skąd wracały do Częstochowy jako płaskorzeźby do skrzydeł ołtarza. Ornamenty w kształcie falistych wstęg wykonywane były w Częstochowie przez snyczerza Tadeusza Szymaczka. Baldachimki nad figurami w obramieniu ołtarza wykonywał snyczer częstochowski starej daty, Nowak. Od 1949 r. prace rzeźbiarskie nad motywami ornamentalnymi oraz nad postaciami świętych polskich rozpoczął mistrz snycerski z Gdańska, Władysław Kazigrotowski (1890-1978). Po pokryciu polichromią płaskorzeźby powracały do firmy, w której złocenia wykonywał Aleksander Małek. Polichromie płaskorzeźb wykonywał w Krakowie, pochodzący z Działoszyna malarz sakralny, Henryk Gadzaliński. Modele i rysunki elementów ołtarza częstochowskiego wykonywał Zygmunt Gawlik i współpracujący z nim artyści plastycy. Autorką płaskorzeźb była najprawdopodobniej Walentyna Sulikowska, uczennica Dunikowkiego w krakowskiej ASP w latach 1920-26. Płaskorzeźby skrzydeł, rzeźbione w drewnie lipowym, musiały być wykonywane pomiędzy rokiem 1949/1950 a 1953.



Fot. Zbigniew Burda

Wykonane płaskorzeźby scen na skrzydłach ołtarza w swej kompozycji i charakterze ogólnym odbiegają, niekiedy bardzo, od ich wyglądu na przedwojennym modelu ołtarza, i widać w nich bardzo zdecydowaną inspirację kompozycyjną ze skrzydeł Ołtarza Mariackiego Wita Stwosza, która to sugestia w projekcie przedwojennym była mniej widoczna. Dość radykalnej zmianie w stosunku do projektu przedwojennego uległa też koncepcja obramienia ornamentalnego, które zostało wzbogacone, powiększone i wyróżniało się jako niemal odrębna część składowa oł-

tarza, uderzająca profuzją ornamentalnego bogactwa i wyraźnym wyakcentowaniem jakby usamodzielnionych, choć wkomponowanych w ornament 13 złożonych figur świętych polskich i nie tylko. I tutaj również inspiracją ołtarzem Wita Stwosza jest bardzo silna.

W 25-lecie powołania do życia diecezji, 29 października 1950 roku bp Teodor Kubina dokonał uroczystej konsekracji katedry, wraz z konsekracją samego ołtarza i poświęceniem nastawy nowego ołtarza głównego z pierwszą płaskorzeźbą. Niestety, 13 lutego 1951 r. biskup Kubina zmarł. Uroczystości pogrzebowe odbyły się w katedrze, ciało biskupa złożone zostało pod kaplicą Matki Bożej Królowej Korony Polskiej, a po dwóch latach wzniesiono nad nim sarkofag. Troskę nad dalszym urzędzaniem katedry sprawował nadal ks. prał. Bolesław Wróblewski. 7 czerwca 1951 roku ks. Wróblewski zasłabł przy ołtarzu w czasie sprawowania Mszy św. porannej i zmarł. Liczne rzesze odprowadziły go na cmentarz Kule.

Drugim biskupem częstochowskim został biskup koadiutor lubelski i profesor teologii moralnej na KUL, ks. Zdzisław Goliński. 17 czerwca 1951 roku odbył on uroczysty ingres do katedry częstochowskiej. Nowy ordynariusz mianował proboszczem-administratorem katedry ks. mgr. Józefa Chwisteckiego. Jedną z jego pierwszych czynności było ustawienie oliwnej lampki wiecznej przed Najświętszym Sakramentem w głównym ołtarzu oraz udoskonalenie aparatury radiofonicznej w świątyni. Po usunięciu religii ze szkół, nowy proboszcz prowadził katechazję w kaplicy katedralnej, dawnej Kaplicy Francuskiej. Biskupowi Golińskiemu bardzo zależało, by katedra była świątynią wzorcową dla całej diecezji. Pierwszym jego posunięciem było zwrócenie się do Ojca Świętego z prośbą o powołanie przy katedrze częstochowskiej kapituły katedralnej, która została erygowana w 1951 roku. Wkład nowego biskupa w wyposażenie katedry był ogromny. Z faktem utworzenia kapituły katedralnej wiązała się konieczność zbudowania stali. Są dziełem Zygmunta Gawlika. Różnią się one stylistycznie od neogotyckiego ołtarza głównego i mają charakter bliiski neorenesansu i manieryzmu. Są doskonale warsztatowo i przede wszystkim dobrze zharmonizowane zarówno z całością wnętrza prezbiterium, z samym ołtarzem, jak i całością wnętrza katedry. Wszystkie stalle jako jednolity zespół powstały w latach 1952-56.

9 grudnia 1951 roku cała parafię katedralną poświęcono Miłosierdziu Bożemu, którego gorliwym apostołem był ks. prałat Józef Chwistecki. Dawna Kaplica Francuska stała się Kaplicą Miłosierdzia Bożego i czczona w niej była figura Pana Jezusa Miłosiernego. Kaplica ta jest obecnie kaplicą Najświętszego Sakramentu.



Fot. Zbigniew Burda

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

Projekt ławek o cechach gotyckich opracował architekt katedralny, inż. Stanisław Pospieszalski. Staraniem ks. kan. Antoniego Godziszewskiego spiżowe tabernakulum z podobizną Chrystusa Pana, ozdobione kolorową emalią, ustawiono na ołtarzu głównym. Ma ono pewne cechy stylu Zygmunta Gawlika i jest wybitnym dziełem, wykonanym w duchu stylu romańskiego. Na ścianach bocznych przedstawione zostały wizerunki świętych. Balustrady komuniyjne stanowią część bardzo zdecydowanie wyróżniającego się zespołu prac projektowanych przez Stanisława Pospieszalskiego, a wykonanych w czerwonym granicie, do którego, obok sarkofagu bp. Kubiny, należą mensy ołtarzowe w centralnej części katedry, ambona oraz dwie kropielnice w przedsionku. Granit, z którego zostały wykonane kropielnice, pochodził z cokołu zburzonego w roku 1917 pomnika cara Aleksandra II na placu przed Szczytem Jasnogórskim. Główne ramy omawianych balustrad również wykonano z granitu pochodzącego ze zburzonego pomnika. Wnętrza balustrad wypełniają gotyckie maswerki z wplecionymi postaciami aniołów, a w szczególności w balustradzie prezbiterium dwie wyjątkowo piękne sceny Zwiastowania i Ukrzyżowania. Mensy ołtarzowe, kropielnice i ambonę łączy jedynolitość stylu - są swobodną, no-



Fot. Zbigniew Burda

woczesną, ale i zarazem silnie archaizującą interpretacją plastyczną przedstawionych na nich symboli i scen.

W połowie lat pięćdziesiątych cała środkowa część ołtarza przesłonięta była kotarą, na tle której wisiał ogromny krzyż, a na szafie ołtarzowej stał pośrodku obraz Świętej Rodziny. Trudno powiedzieć, jakie względy zadecydowały o zmianie koncepcji sceny centralnej ołtarza w stosunku do pierwotnego projektu Zygmunta Gawlika. Projektantem nowej wersji, w której zrezygnowano z ukazania przedstawicieli różnych stanów, był też Zygmunt Gawlik. Równie zasadniczych zmian dokonano w części najwyższej wieńczącej ołtarz, gdzie w miejsce poprzedniej, prostej i prawie znakowej kompozycji Trójcy Świętej, umieszczono realistyczne, figuratywne Jej wyobrażenie przez przedstawienie postaci Boga Ojca, Syna Bożego i nad Nimi Gołębicy Ducha Świętego, adorowanych przez aniołów. W rezultacie Święta Rodzina przedstawiona została jako siedząca naprzeciw siebie, z małym Jezusem pośrodku, ale podwyższonym, jakby górującym nad Rodzicami. Taka koncepcja nie bardzo pasowała do wyraźnie pionowej przestrzeni pola, pozostawionego dla sceny centralnej. Problem rozwiązano przez podniesienie sceny Św. Rodziny, a pod nią umieszczono piękny w kształtach i kolorycie gotycki

IE CZĘSTOCHOWY



Fot. Zbigniew Burda

ażur; natomiast przestrzeń powyżej wypełniono długimi promieniami, idącymi od symbolu Ducha Świętego, oraz umieszczono dwa wielkie anioły w locie, wysoko ponad głowami Świętej Rodziny, trzymające koronę. Nad tym wszystkim dla wypełnienia środkowej części ołtarza umieszczono pięć figur świętych, wykonanych przez Kazigrotowskiego.

Większość elementów końcowego ołtarza wykonywana była w Krakowie przez artystów plastyków współpracujących z Zygmuntem Gawlikiem i w gotowej postaci przywożona do Częstochowy. Wiele jednak prac wykonano w Częstochowie. Ażur pod centralne przedstawienie Świętej Rodziny wykonał nieznan z imienia Nowak w Częstochowie według modelu przygotowanego przez Jerzego Gawlika. Autorstwo kompozycji Trójcy Świętej o charakterze gotycyzującym przypisuje się małżeństwu rzeźbiarzy, Fryderykowi i Janinie Toth, którzy pracowali nad restauracją i rekonstrukcją ołtarza Mariackiego Wita Stwosza w Krakowie. Wykonawcą grupy centralnej ołtarza miał być Władysław Kazigrotowski. Niestety, z powodu wieku i choroby, snycerz odmówił. Dwa lata szukano innego wykonawcy. Przebywając w warszawskim klasztorze paulinów, bp Goliński poznał wykonującego w tamtejszym kościele rekonstrukcje zabytkowych ołtarzy snycerza Aleksandra Malika, absolwenta słynnej „szkoły Kenara” w Zakopanem i zaangażował go do pracy nad przekuwaniami w drewnie grupy centralnej Świętej Rodziny. Pracę tę Malik rozpoczął wczesną wiosną 1963 roku, a ukończył jesienią roku następnego. Przygotowany dla niego olbrzy-



Fot. Zbigniew Burda

mi kloc drewna lipowego, wielkości całej grupy, trzeba było przeciąć na trzy poziome części, gdyż snycerz nie mógł pracować w tak wielkim bloku. Wspominał, iż praca ta była wyjątkowo uciążliwa, ze względu na niemożność ogarnięcia wzrokiem całości dzieła. Jesienią 1964 roku, rok po śmierci bp. Golińskiego, przekuta przez Malika grupa stanęła w ołtarzu katedralnym. Polichromię wykonał malarz Henryk Gadzaliński z Krakowa.

Zygmunt Gawlik zmarł nagle w 1961 roku. Kontrolę nad prowadzonymi pracami przejął jego syn, inż. architekt Jerzy Gawlik. Ogromne zadanie wyzłocenia całej nastawy ołtarzowej i wszystkich jej elementów dekoracyjnych wykonał w większości pozłotnik Aleksander Małek z Krakowa. Aureole i promienie przy grupie centralnej wykonał Józef Synowiec. Kończenie ołtarza głównego trwało do połowy lat sześćdziesiątych. Retabulum ołtarza głównego częstochowskiej archikatedry stanowi zjawisko unikalne w dwudziestowiecznej polskiej sztuce religijnej. Tak wielkich, wypełniających całe ogromne i niezmiernie wysokie prezbiterium ołtarzy nie stawiano od czasów baroku. Tym, co w przypadku tego ołtarza uderza najbardziej, jest profuzja formy, nie mająca sobie równej w czasach nowożytnych ani skalą, ani klasą wykonania. Dzieło to było konsekwentnie realizowane przez blisko trzydzieści lat.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych urządzono kaplice na zakończeniu nawy poprzecznej. W kaplicy Najświętszego Serca Jezusowego, która stała się kaplicą adoracyjną, Stanisław Pospieszalski zaprojektował nastawę ołtarzową – olbrzymią monumentalną kompozycję, wypełniającą całą arkadę ścianą szczytowej kaplicy. W centrum tej kompozycji był Najświętszy Sakrament. Wykonana jest ona w srebrze ze specjalnie na ten cel zebranych monet i złomu srebrnego. Przetopienie i walcowanie urządzono konspiracyjnie w Warszawie, gdyż ówczesne przepisy uniemożliwiały jakiegokolwiek działania z metalami szlachetnymi. Wykonawcą nastawy był metaloplastyk częstochowski Zygmunt Kempa. Dzięki tej realizacji kaplica stanowi jedno z najciekawszych w sensie artystycznym miejsc katedry.

Poświęcenia ołtarza Najświętszego Sakramentu dokonał bp Goliński 3 listopada 1957 roku, równocześnie z poświęceniem dwu innych ołtarzy – Ukrzyżowania i Upadku Pana Jezusa oraz Kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej w lewym zakończeniu nawy poprzecznej. Do pięciu okien Kaplicy Najświętszego Sakramentu Stanisław Pospieszalski

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY



ski zaprojektował witraże, tematycznie nawiązujące do jej ówczesnego przeznaczenia. Urządzenie Kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej po stronie przeciwnej jest dziełem blisko 20 lat późniejszym. Z tamtego czasu pochodzi jedynie kompozycja w rozecie, zaprojektowana przez Zofię Baudouin de Courtenay i wykonana w roku 1959. Przedstawia ona Maryję jako Królową Polski. Cztery pozostałe witraże powstały nieco później i zostały zaprojektowane przez Macieja Kauczyńskiego z Krakowa.

W roku 1957 powstała wspiana i niezwykle cenna artystycznie kompozycja witraża w rozecie fasady głównej, ponad chórem organowym. Zaprojektował ją profesor krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Adam Bunsch, wybitny i ceniony grafik, twórca drzeworytów barwnych. Rozeta ma charakter kompozycji dekoracyjnej, subtelnej w kolorze, o dominancie delikatnych fioletów. Witraże w nawach bocznych powstawały około roku 1958. Autorem ich projektów jest architekt i malarz Tadeusz Wojciechowski (1902-82). Przed wojną działał w Lwowie, w kręgu awangardowej grupy malarskiej „Artes”, po wojnie osiadł w Krakowie i z czasem stał się jednym z naszych najwybitniejszych witrażystów. Witraże częstochowskie stanowią jego pierwszą realizację w dziedzinie witrażownictwa i są – w przeciwieństwie do stosowanej nowoczesnej praktyki – „małokwaterowe”, tzn. każdej kwaterze odpowiada jedna scena, tak jak było zazwyczaj w witrażach średniowiecznych. Tematem witraży są sakramenty święte.

26 kwietnia 1953 poświęcono epitafium ku czci 62 kapłanów diecezji częstochowskiej, zamordowanych przez Niemców. Kompozycję trzech płyt czarnego granitu, na których złotymi literami wryto ich nazwiska, zaprojektował Stanisław Pospieszalski. Epitafium to umieszczono na prawej ścianie Kaplicy Matki Bożej Królowej Korony Polskiej. Obecnie znajduje się w Kaplicy Kapłanów – Męczenników.

Z polecenia bp. Golińskiego, nekropolię biskupów częstochowskich urządzono w krypcie jako kaplicę w latach 1960-61. Po prawej i lewej stronie krypty umieszczono katakumby, w których złożono ciała bp. Zdzisława Golińskiego (zm. 1963), biskupa pomocniczego Stanisława Czajki (1965) i biskupa ordynariusza Stefana Bareły (1984). Nad prostym kamiennym ołtarzem stojącym pośrodku kaplicy znajduje się mozaika, która zaprojektowała Zofia Baudouin de Courtenay, wybitna malarka sakralna i świetna projektantka witraży, przez szereg lat po wojnie osiadła w Częstochowie. Przedstawia ona głowę i ramiona Matki Bożej z Jasnogórskiej Ikony. Zamówił ją bp. Goliński, wykonana została w watykańskiej pracowni mozaiki. Biskup przywiózł ją, wracając z II Soboru Watykańskiego. W kaplicy znajdu-

je się jeszcze jeden witraż tej samej autorki, przedstawiający trzy Marie idące do grobu.

Projekt urządzenia zakrystii, a przede wszystkim projekt szafy zakrystyjnej, opracował Stanisław Pospieszalski. Na płycinach drzewiczek górnej części szafy zakrystyjnej umieszczone są wizerunki św. Augustyna, św. Stanisława, kard. Hozjusza i kard. Prymasa Wyszyńskiego. Wizerunki te, malowane w duchu późnego gotyku lub wczesnego renesansu, są zupełnie jednorodne stylistycznie, mimo iż trzy z nich malował Stanisław Pospieszalski, a jeden – Zofia Baudouin de Courtenay. Urządzenia zakrystii dokonano w roku 1955. Za czasów bp. Golińskiego zrealizowano wiele jeszcze przedsięwzięć o mniejszej skali, takich jak stalle kanonicie dla kanoników honorowych Kapituły Katedralnej, podniesienie masy ołtarza głównego, położenie nowej marmurowej posadzki i marmurowych schodów. W roku 1954, według projektu inż. M. Ficencesa, przy wejściu do pomieszczeń bocznych zbudowano schody z gankiem oraz granitowe schody wejściowe do zakrystii od zewnątrz, przeprowadzono remont dachów wież. W uznaniu wielkich zasług pierwszego proboszcza katedry, ks. Bolesława Wróblewskiego, na lewej ścianie kaplicy Matki Bożej Częstochowskiej umieszczono jego epitafium – z samym tylko napisem, zaprojektowane przez Jerzego Gawlika.

Ołtarze Ukrzyżowania i Upadku Pana Jezusa bywają niekiedy nazywane kaplicami. Zwłaszcza często używa się określenia Kaplica Upadku Pana Jezusa. Stanowi ona ostatnie przed nawą poprzeczną przeszło prawej nawy katedry. Ustawiony był tu ołtarz według projektu Stanisława Pospieszalskiego, a na nim była umieszczona wykonana w drewnie XIX-wieczna figura Chrystusa upadającego pod krzyżem. Figura ta pochodzi z kaplicy Upadku Pana Jezusa, zbudowanej w narożniku muru dawnego cmentarza, tuż za terenem otaczającym prezbiterium katedry od strony ul. Krakowskiej. Została rozebrana w późnych latach dwudziestych lub trzydziestych XX wieku. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XIX w. kaplicą opiekował się mieszkający przy niej pustelnik Szymon Długołęski, były żołnierz. Sama figura Chrystusa jest dziełem snycerza częstochowskiego z pierwszej tercji XIX w. Po rozebraniu kaplicy figurę ustawiono na terenie otaczającym prezbiterium katedry, na otwartym powietrzu. Staraniem ks. infuł. Bolesława Wróblewskiego, który – według przekazu – stylizował słowa Łazarza, iż musi okonać na deszczu, figura została przeniesiona do katedry około 1952 roku. W parę



ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

lat później według projektu Stanisława Pospieszalskiego zbudowano mense ołtarzową, na której stanęła figura, i poświęcono całość 3 listopada 1957 r. W roku 2000 dla figury została urządzona osobna kaplica w drugim prześle prawej nawy według projektu arch. Jana Schuberta z Krakowa z witrażem Zmartwychwstania Pańskiego

Ołtarz Ukrzyżowania Pana Jezusa znajduje się w nawie poprzecznej, naprzeciw wylotu prawej nawy bocznej. Nad mensą tego ołtarza, zaprojektowaną przez Stanisława Pospieszalskiego, znajduje się dużej klasy krucyfiks drewniany – sama Pasja pochodzi z prywatnego daru powojennego i jest dziewiętnastowieczna lub nawet osiemnastowieczna. Wokół krzyża powstała później drewniana kompozycja całej wnęki z figurami Matki Bożej Bolesnej oraz św. Jana wraz z napisami siedmiu ostatnich słów Pana Jezusa. Autorem rzeźb jest Józef Pyrz.

W drugiej połowie lat pięćdziesiątych powstał stopniowo zespół jednolitych styliowo i utrzymanych w duchu średniowiecza konfesjonaliów, które zaprojektował Stanisław Pospieszalski. Jego projektu jest również zdobiąca je dekoracja malarska, wzorowana na średniowiecznych miniaturach. Według projektów dekorację malarską wykonała malarka: Barbara Pawłowska przy pomocy Polówny.

Projektantem placu katedralnego, którego nowe urządzenie ukończono w 1959 r., był inż. Jerzy Kukuła z Częstochowy. Plac wyłożono granitem, betonem i asfaltem.

W tym też czasie dawna Kaplica Francuska staje się kaplicą Miłosierdzia Bożego. Po przebudowie neogotyckiego otworu wejściowego i wykonaniu drzwi w tymże stylu według projektu Stanisława Pospieszalskiego, w kaplicy tej sprawiono interesujące witraże. Ich projektantem był malarz i witrażysta z Wrocławia, Stanisław Pękalski wraz z żoną. Tematyka witraży w prezbiterium to objawienie się Najświętszego Serca Jezusowego św. Małgorzacie Alacoque oraz Matka Boża Ostrobramska. Tematyka pozostałych witraży wiąże się z charakterem katechetycznym kaplicy i przedstawia świętych patronów młodzieży: św. Kazimierza Królewicza wraz ze św. Stanisławem Kostką oraz św. Jana Boscho wraz z Dominikiem Savio. 11 grudnia 1960 r., po urządzeniu nowych sal katechetycznych, odbyło się poświęcenie odrestaurowanej kaplicy Miłosierdzia Bożego; założono znicze i lampy projektu Stanisława Pospieszalskiego, a ołtarz ozdobiono balustradą kutą w żelazie.

22 czerwca 1962 r. Ojciec Święty Jan XXIII nadał katedrze częstochowskiej tytuł bazyliki mniejszej, co upamiętniono tablicą umieszczoną przy wejściu do katedry.

6 lipca 1963 r. zmarł bp dr Zdzisław Goliński. Jego niezwykle uroczysty pogrzeb odbył się z udziałem Prymasa Stefana Wyszyńskiego. Śmierć bp. Golińskiego kończy bardzo ważny okres urządzania wnętrza katedry. Wprawdzie rozpoczął je bp Teodor Kubina, niemniej rola bp. Golińskiego w nadaniu wnętrza katedry charakteru wykonczonego była ogromna i nie do przecenienia. Następcą bp. Golińskiego mianowany został dotychczasowy biskup pomocniczy częstochowski, ks. dr Stefan Bareła. Uroczysty ingres nowego biskupa do bazyliki katedralnej odbył się 12 kwietnia 1964 roku.

W roku 1968 pojawił się problem pękania sklepień naw bocznych wskutek zbyt silnego parcia na nie ciężaru dachówki, którą wymieniono na blachę miedzianą, jak i niestałości gruntu. Zaliczenie katedry przez Urząd Konserwatorski przy Wydziale Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej w Katowicach w poczet budowli zabytkowych w 1972 r. umożliwiło otrzymanie przydziału blachy miedzianej. Podjęto też decyzję o założeniu ściągów żelaznych w nawie głównej.

Od 5 października 1969 r. zaczęto odprawiać stałe niedzielne Msze św. dla studentów wyższych uczelni w Kaplicy Miłosierdzia Bożego, która w ten sposób stała się kaplicą akademicką. Rok 1971 rozpoczął się m. in. odprawioną 14 lutego Mszą św. w intencji Ojczyzny i Ofiar Wypadków na Wybrzeżu.

Z pokrycia dachu zostały resztki blachy miedzianej, którą wykorzystano do wykonania nastawy ołtarza Matki Bożej Królowej Polski. Projekt tej nastawy wykonał Stanisław Pospieszalski, a wykonawcą był Zygmunt Kempa. Kompozycja nastawy przedstawia sceny z życia Maryi oraz chóry aniołów adorujących Matkę Bożą w Jej Obrazie Jasnogórskim. Nastawę ukończono w roku 1975. Z tym momentem zasadniczy proces wyposażenia wnętrza katedry został zakończony, a z czasem wzbogaciły je dzieła niezwiązane bezpośrednio z wyposażeniem architektonicznym. Jednym z nich jest epitafium bpa Zdzisława Golińskiego na filarze przy kaplicy Matki Bożej Królowej Polski, zaprojektowane przez Stanisława Pospieszalskiego, a wykonane najprawdopodobniej pod koniec lat sześćdziesiątych.

W czasie swojej pierwszej pielgrzymki do Polski w roku 1979 katedrę częstochowską nawiedził 5 czerwca Ojciec Święty Jan Paweł II. Dla upamiętnienia tego wydarzenia wzniesiono pomnik Ojca Świętego w roku 1982, umieszczając go na filarze nawy głównej. Jest to monumentalna, ok. 3 m wysokości, prawie pełna rzeźba w brązie, przedstawiająca postać Papieża w geście błogosławieństwa, wspartą na bloku z czerwonego granitu. Autorem pomnika jest Jerzy Kędziora we współpracy z Szymonem Wypychem.

Następca bp. Stefana Bareły, biskup Stanisław Nowak, na początku swego posługiwania polecił przenieść Najświętszy Sakrament z dotychczasowej kaplicy do kaplicy Miłosierdzia Bożego, ustanawiając tę kaplicę Kaplicą Najświętszego Sakramentu. Z tej okazji wykonano bogatą, dekoracyjną obudowę tabernakulum, które zaprojektował Stanisław Pospieszalski, a wykonał Zygmunt Kempa. W roku 1988 wmurowano w ścianę lewego ramienia nawy poprzecznej epitafium bp. Stefana Bareły, w postaci płaskorzeźby, wykonanej przez profesora Politechniki Częstochowskiej Zbigniewa Piłkowskiego. Na ścianie lewej nawy umieszczono tablicę poświęconą pamięci Romana Dmowskiego. Na ścianie lewej nawy znajduje się również tablica poświęcona pamięci żołnierzy Armii Krajowej Inspektoratu Częstochowskiego. Wykonanie 14 stacji Drogi Krzyżowej powierzone Jarosławowi Kwelichowi, częstochowskiemu malarzowi. Na filarach nawy głównej stopniowo umieszczano serię figur 12 apostołów, w miesiącach przeznaczonych dla nich w pierwotnym projekcie świątyni, zgodnie z duchem i tradycją gotyku, kiedy to na filarach świątyni stawiano figury świętych. Wykonał je zamieszkały w Paryżu artysta polskiego pochodzenia, Józef Pyrz. Oprócz figur apostołów dodano figury dwóch ewangelistów: św. Łukasza i św. Marka oraz św. Pawła i św. Marii Magdaleny. Obecnie na skrzyżowaniu nawy głównej z transeptem umieszczone są cztery figury św. Archaniołów: Michała, Gabriela i Rafała oraz Anioła Stróża. W kaplicy chrzcielnej (obecnie Kaplica Miłosierdzia Bożego), 7 czerwca 1996 r. umieszczono obraz Jezu Ufam Tobie, wykonany przez częstochowskiego malarza Aleksandra Markowskiego, nawijający w sposób twórczy do pierwowzoru wileńskiego, autorstwa Eugeniusza Kazimierowskiego. W obrazie Markowskiego Chrystus patrzy w oczy ludziom stojącym przed tym obrazem.

Ks. proboszcz Marian Duda podjął dzieło przystosowania istniejących, lecz niewłaściwie użytkowanych, pomieszczeń na kaplice. W ten sposób powstały: Kaplica Miłosierdzia Bożego (nowa, w miejscu wcześniejszej kaplicy chrzcielnej)

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

oraz kaplica Cudownego Obrazu Matki Bożej Anielskiej, w której znajduje się cudowny obraz Matki Bożej Anielskiej. W Kaplicy Miłosierdzia Bożego, oprócz obrazu Aleksandra Markowskiego „Jezu, ufam Tobie”, znajdują się tego samego malarza wizerunki św. Siostry Faustyny i św. Brata Alberta oraz ich relikwie w pięknych gablotach. Przy prawej nawie utworzono dwie kaplice: Pana Jezusa Upadającego, dla omawianej już figury z I tercji XIX w. oraz Kaplicę Częstochowskich Męczenników, w szczególny sposób poświęconą czci dwóch częstochowskich kapłanów, wyniesionych na ołtarze wśród innych męczenników II wojny, przez Jana Pawła II w czasie pielgrzymki do Polski w 1999 r.: bł. ks. Maksymiliana Binkiewicza i bł. ks. Ludwika Rocha Gietyngiera oraz bł. s. Kanuty Chrobot, nazaretanki, beatyfikowanej w 2000 r., pochodzącej z Raczyna koło Wielunia.

Bullą Ojca Świętego Jana Pawła II *Totus Tuus Poloniae Populus* z dnia 25 marca 1992 r., diecezja częstochowska podniesiona została do godności archidiecezji, a tym samym katedra częstochowska stała się archikatedrą.

W połowie 1990 r. bp Stanisław Nowak podjął myśl realizacji dokończenia wież katedralnych w lżejszej, zmienionej w stosunku do pierwotnego projektu postaci. W dzieło ich budowy arcybiskup zaangażowany był osobiście, a dzielnie wspomagał go proboszcz katedry, ks. prał. Marian Duda. Ważny wkład miał ks. prał. Ireneusz Skubiś i redakcja tygodnika „Niedziela” oraz ks. prał. Marian Miłkołajczyk. W koncepcji budowy wież ze względów technicznych musiano odejść od pierwotnego projektu. Nowy, zrealizowany projekt opracowano w środowisku wrocławskim. Kierownikiem zespołu i projektantem architektury był prof. dr hab. inż. Edmund Małachowicz, opracowanie techniczne wykonał prof. Kazimierz Rykaluk oraz prof. Ernest Kubica. Wykonawcami byli: „Mostostal Będzin” S.A. i „Comostal” Dąbrowa Górnicza. Prace wykonawcze przy budowie wież rozpoczęto 7 kwietnia a zakończono 21 listopada 1997 r. Lewa wieża otrzymała imię „św. Józef”, a prawa - „Maryja”. Istniejąca wcześniej sygnaturka przywołuje Jezusa Chrystusa. Tak więc całą Świętą Rodzinę symbolizują wieże katedry.

Skrót książki Wojciecha Skrodzkiego *Archikatedra Świętej Rodziny w Częstochowie*, Częstochowa 2000.



Fot. Zbigniew Burda

Święta Rodzina

Dnia 12 września została podjęta operacja umieszczenia przez duży dźwig ośmiu stalowych okien oraz dwóch rusztów pośrednich na nowowzniesionych murach dwóch wież. (...) Tymczasem zaistniały nieprzewidziane okoliczności. Oto zerwał się silny wiatr, który uniemożliwił pracę dźwigu. Przy silnych podmuchach wiatru, okna i stalowe elementy rusztów wciągane na wieżę powiewały na wietrze i wydawały się jak lekkie elementy drewniane. [...] Siłę wiatru mierzono w osiemnastu jednostkach. Wobec bezradności specjalistów i praktyków [...] zadecydowałem natychmiast modlitewny szturm do Naszej Pani Katedralnej. Akurat zbierały się o tej porze najwierniejsze z wiernych – kobiety, które codziennie około 14.00 przychodziły na modlitwę do archikatedry. [...] Wyceśliśmy obraz Matki Bożej Anielskiej przed katedrę i zaczęliśmy modlitewny szturm. Na efekty nie trzeba było długo czekać – ku całkowitemu zaskoczeniu kierujących tą operacją inżynierów i pracowników technicznych - wiatr prawie w okamgnieniu uciął. (...)

komunikat duszpasterski ks. Mariana Dudy
Budowa wież – informacja o cudzie, 1997

Potężny neogotycki masy archikatedry wznosi się wśród starych, malowniczych, dziś często zaniedbanych domów, biednych ulic, zabytkowych a rozspływających się obiektów. Takich, jak niszczący od lat browar, zniszczona już całkowicie papiernia z Kanałem Kohna, po którym nie ma nawet śladu, czy inne bardzo cenne zespoły architektury przemysłowej, którym grozi ten sam los („La Czeszochowiec”, E. Mottego). Obrazu tego nie potrafią rozjaśnić kulturalne wysepki: odrestaurowana przez miasto kamienica mieszczańska przy ul. Katedralnej 8, o bogatych wnętrzach, w której od niedawna mieści się Galeria Malarstwa Muzeum Częstochowskiego; usytuowana w Konduktorowni, pozostałości zabytkowego dworca kolei warszawsko-wiedeńskiej, nowa galeria sztuki współczesnej Zachęta czy borykająca się z trudnościami, a wyjątkowa w skali europejskiej, fabryka zapalek z ul. Ogrodowej, z zabytkowymi, unikatowymi maszynami, ciągle pracującymi.

Wokół katedry toczy się życie w rozmaitych formach. Działają tu różne małe sklepy i warsztaty z tradycjami, wśród nich artystyczne pracownie pozłotnicze oraz pracownie oprawy obrazów (Syrek, Świącik) - niektóre funkcjonują nadal (Budziński). Znane gabinety lekarskie (dr Ruskarski, dr Ruskowski) i renomowane zakłady fotograficzne (Halter). Wiele lat przy ul. Krakowskiej mieściła się siedziba Towarzystwa Fotograficznego w Częstochowie i sławna pracownia fotograficzna Edmunda Mularza „na Warcie”. Kiedyś przy ul. Ogrodowej było kino „Bałtyk”.

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

Przy ulicy Strażackiej jeszcze trwa zabytkowa remiza, a na rogu Krakowskiej jeden z najstarszych tu obiektów, dawniejsza siedziba archiwum, mieszczący zakład pogrzebowy i kwaciarnię. Zabytkowe kamienice przy ulicy Piłsudskiego strzegą resztek dawnego splendoru. Sypie się, czekając na konserwację, malowniczy mur z kamienia wapiennego przy Konduktorowni, jeden z ostatnich takich w Częstochowie. Z bardziej charakterystycznych obiektów można też wymienić pałacyk fabrykanta przy ul. Strażackiej, budynek Wodociągów porośnięty dzikim winem, kamieniczkę z ul. Piotrkowskiej z zachowanym oryginalnym wystrójem klatki schodowej, katedralną plebanię w stylu dworcowym, a przy Krakowskiej – gmach Liceum im. Mickiewicza oraz Zespołu Gimnazjów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego; stał tu przed wojną pomnik Marszałka, autorstwa częstochowskiego rzeźbiarza Stefana Polcińskiego. W Liceum Mickiewicza uczył, zmarły w 2008 r., znany malarz sakralny Wiktor Bulik, specjalizujący się głównie w kopiach obrazu Matki Bożej Częstochowskiej i Jezusa Miłosiernego, autor także tej, która peregrynowała w archidiecezji. Obecnie powstaje nieopodal tzw. Galeria Jurajska, ogromny obiekt handlowy, nieliczący się z charakterem miejsca, bez troski o harmonijne włączenie w tkankę starego miasta i o zindywidualizowaną, interesującą formę architektoniczną.

Wśród takiej sceny wyraza, zbudowana przed stu laty z środków ludności robotniczej, świątynia, jedna z największych w Polsce. Swą sylwetką do niedawna, gdy jeszcze nie miała zrealizowanych w uproszczonej formie wież, przypominała paryską Notre Dame.

Katedra to matka kościołów diecezji, kościoł biskupi, dlatego trzeba choćby wspomnieć biskupów z całej, nie długiej przecież, historii diecezji częstochowskiej. Teodor Kubina, pierwszy biskup częstochowski, przyszedł do Częstochowy ze Śląska, gdzie się angażował w walkę o polskość. Wybitna postać, zaangażowana w sprawy społeczne; pamięć jego jest przywoływana m.in. w związku z jego jasnym potępieniem tendencji antysemickich i ich zbrodniczych skutków. Człowiek wielkiej kultury, mecenas, znawca i miłośnik sztuki. Jego następcą został profesor KUL, biskup koadiutor lubelski Zdzisław Goliński, którego setną rocznicę urodzin archidiecezja częstochowska właśnie obchodzi. Trzecim ordynariuszem częstochowskim był biskup Stefan Bareła; charakterystyczny profil z dużym orlim nosem i ujmujący uśmiech mam przed oczyma. Pierwszą nauczycielką Steficia w szkole w Zapolicach koło Radoszka, była ciocia mojej mamy, Helena Ozgowa z domu Klaklik. Rodzina Klaklików mieszkała właśnie na terenie parafii Świętej Rodziny i w opowieściach przechował się ślad czasu, gdy katedrę budowano z wielkim zaangażowaniem parafian. I wreszcie biskup Stanisław Nowak, pierwszy arcybiskup metropolita częstochowski.

Biskupami pomocniczymi byli: Antoni Zimniak, Stanisław Czajka, którego wspominałem w "Alejach 3" przy okazji przedstawiania kościoła św. Zygmunta, Franciszek Musiel, o którym pisałem w związku z kościołem św. Barbary, obaj ludzie odważnego słowa w czasach PRL; Tadeusz Swargrzyk, Miłosław Kołodziejczyk. Obecnie są to Jan Wątrba i Antoni Długosz, śpiewający i tańczący biskup dzieci, zajmujący się też szczególnie osobami uzależnionymi.

Z katedrą wiążą się wielkie uroczystości w skali miasta i diecezji. Konsekracje, ingresy, pogrzeby biskupów, centralna procesja Bożego Ciała, Niedziela Palmowa z obchodami Światowego Dnia Młodzieży, liturgia Wielkiego Tygodnia, święcenia kapłańskie, uroczystości religijno - patriotyczne z okazji świąt narodowych, a od paru lat również sierpniowe procesje - pielgrzymki na Jasną Górę oraz inne ogólnopolskie pielgrzymki środowiskowe, jak majowa akademicka, rozpoczynające się w katedrze. Ale również wydarzenia wyjątkowe, o znaczeniu historycznym, jak te związane z pielgrzymkami Jana Pawła II (spotkania z duchowieństwem i z chorymi). Katedrę w 1999 r. nawiedziła wędrująca figura Maryi z Nazaretu. Tu odbywały się również obchody Roku Świętego 2000, z symbolicznym otwarciem i zamknięciem Drzwi Świętych. W katedrze odbyła się też inwestytura Zakonu Grobu Bożego, którego komandorem był, zmarły w 2008 r., inż. Wacław Woszczyk, właściciel zabytkowego Hotelu Polonia. Katedra bywa miejscem wydarzeń kulturalnych: koncertów, wystaw, spektakli, jak Sacrosong z udziałem kardynała Wojtyły czy spektakl według "Mistrza i Małgorzaty" Bulhakowa, przygotowany przez Henryka Talara. Spotkania o charakterze kulturalnym odbywają się także od czasu do czasu w sali przy katedrze, żeby wspomnieć przedwiejną jasełka, czy odczyty i spotkania Tygodni Kultury Chrześcijańskiej (gościł tu na przykład Stefan Kisielewski) oraz inaugurowaną niedawno Szkołę Katedralną. Bardzo ważne byłoby ucylenie na co dzień z katedry żywego ośrodka kultury, o czym marzył obecny rektor Instytutu Teologicznego, ks. dr hab. Marian Duda.

Na terenie parafii przy ul. Ogrodowej, w Domu Archidiecezjalnym, działła Radio Fiat, Częstochowskie Wydawnictwo Archidiecezjalne „Regina Poloniae” oraz duszpasterstwo środowisk twórczych, gdzie ks. Piotr Zaborski kontynuuje pracę ks. Grzegorza Ułamka, duszpasterza artystów, obdarzonego wielką inwencją i zdolnością nawiązywania kontaktu z twórcami, zmarłego tragicznie w młodym wieku. Przy ul. Piotrkowskiej mieści się Niższe Seminarium Duchowne. Przy ul. Targowej działa Zespół Szkół Mechaniczno - Elektrycznych, przy ul. Krakowskiej - Zespół Szkół Odzieżowo - Włókienniczych, a przy ul. Ogrodowej - Wyższa Szkoła Hotelarstwa i Turystyki.

Tradycja kościelnej pomocy potrzebującym przejawia się w historii parafii katedralnej w różnych formach. Od działań księdza Wróblewskiego, który prowadził kuchnię dla potrzebujących i ochronkę dla dzieci, po działającą obecnie, pierwszą w Polsce, kościelną niepubliczną placówkę służby zdrowia i stołówkę w „Domu Świętej Rodziny”. Założona w 1999 r. przez ks. Dudę i dr. Andrzeja Szczerka przychodnia miała podpisaną umowę z kasą chorych, a jednocześnie przyjmowała osoby pozabawione domu, nieubezpieczone. Tym, których nie było na nie stać, leki wydawane były nieodpłatnie. W planach było powstanie szpitala. Utworzona z inicjatywy proboszcza ks. Mariana Dudy stołówka parafialna w archidiecezjalnym „Domu Świętej Rodziny” działa od marca 1996 r. i służy najbardziej potrzebującym. Szefową katedralnej jadłodajni została Barbara Nowicka, a w dziele pomagało wiele ofiarnych osób (bez udziału sponsorów). Na terenie parafii znajduje się też schronisko dla bezdomnych, prowadzone

ŚWIĄTYNIE CZĘSTOCHOWY

przez częstochowską Caritas przy współdziałaniu miasta. (Miasto powinno znaleźć sposoby na zaradzenie temu niebezpieczeństwu, dotykającemu różnych ludzi, nie zawsze z ich winy. Schronisko jest tylko doraźną odpowiedzią na problem, ale niezwykle ważną, wręcz ratującą życie, zwłaszcza w okresie zimowym.) Siostry honoratki prowadzą dom opieki przy ul. Ogrodowej. Również inni chrześcijanie rozwijają ożywioną działalność charytatywną. Fundacja Chrześcijańska „Adullam” prowadzi przy ul. Krakowskiej darmową stołówkę, wydającą codziennie 450 dwudaniowych obiadów, jest też hostel. Z Fundacją współpracuje miasto, Częstochowski Bank Żywności, markety, hurtownie i producenci żywności.

Wielu mieszkańców Częstochowy ma związek z parafią Świętej Rodziny, niegdyś bardzo rozległą, a dziś okrojona do paru ulic, która dała początek nowym parafiom, powstałym ze względów duszpasterskich. Ostatnia taka nowa parafia, z siedzibą przy ul. Orzechowskiego, ma wezwanie Narodzenia Pańskiego. Na wstępnym etapie organizacyjnym połączona była unią personalną z parafią katedralną, z proboszczem ks. Dudą. W tym też czasie została otwarta kaplica w budynku dworca kolejowego.

Po ks. infulacie Bolesławie Wróblewskim, który do dziś jest wspominany z szacunkiem przez starszych mieszkańców, blisko czterdzieści lat funkcje proboszcza parafii katedralnej pełnił ks. Józef Chwistecki. Jego szczupłą postać o szlachetnej fizjonomii, w kanonickiej pelerynce, złączyła się na trwałe w mojej pamięci z katedralnym wnętrzem. Z osób związanych w tym czasie z katedrą trzeba wymienić prof. Antoniego Szuniewiczza, organistę, kompozytora i dyrygenta katedralnego chóru. Następcą ks. prałata Chwisteckiego został ks. Bronisław Preder, obecnie proboszcz i rektor sanktuarium św. Józefa na Rakowie. Kolejny proboszcz, ks. Marian Duda, dawny duszpasterz akademicki, z zapalem realizował przedsięwzięcia dotyczące katedralnej budowli i życia parafii. Widocznym śladem jego posługi pozostaną katedralne wieże. Do budowania wspólnoty przyczyniały się z pewnością takie gesty, jak np. wychodzenie celebrowania w szatach liturgicznych po mszy do drzwi kościoła, rozmowy z parafianami, uścisk dłoni. Swoje doświadczenia proboszczowskie, w kontekście teologiczno - pastoralnym, zawarł ks. Duda w dwutomowej publikacji „Parafia a świat wartości” i „Parafia - kawałek nieba...”. Z publikacji tej przebiega wielka gorliwość w poszukiwaniu nowych, skutecznych form pracy duszpasterskiej, a równocześnie dążenie do formalnego porządkowania jej różnych aspektów.

Wcześniejsze przedsięwzięcia w zakresie wyposażenia katedry pod względem artystycznym przedstawia w swej pracy Wojciech Skrodzki, więc nie omawiam ich tutaj. Wspomnę tylko piękną historię figury Pana Jezusa upadającego pod krzyżem i niezwykle okoliczności przeniesienia jej do katedry. Według przekazu ks. Wróblewski usłyszał jak Jezus zalił się, że musi moknąć na deszczu - i spowodował przeniesienie figury do wnętrza.

Obecnemu proboszczowi, ks. Stanisławowi Gębcze, przypadło w udziale dzieło ogromne: kompleksowa konserwacja i remont bazyliki archikatedralnej. Prace te realizowane są z środków diecezji i ofiarodawców - sponsorów. Przeprowadzono też przekształcenie prezbiterium,

z budową stałego stołu ołtarzowego przystosowanego do odprawiania twarzą do wiernych, zgodnie z soborową reformą liturgiczną. Jest to potężny blok białego marmuru włoskiego z płaskorzeźbą Baranka. Wymagający budowy wysokich rusztowań ponowny montaż witraży po przeprowadzonej ich konserwacji, przewidziany jest ze względów ekonomicznych łącznie z malowaniem prezbiterium.

Charakter wnętrza, szlachetnego w swej surowej prostocie i gotyckiej strzelistości, w ciągu lat z wycięciem i umiarem wzbogacanego o wartościowe dzieła sztuki: witraże, rzeźby, obrazy, zobowiązuje do unikania wszelkiej tandety, świetlicowego charakteru, styropianu i hasel na patyku, także w dekoracjach zmiennych, związanych z rokiem liturgicznym, jak np. szopka na Boże Narodzenie, czy Grób Pański.

W zamierzeniach jest również, planowane już przez ks. Dudę, przekształcenie placu przy katedrze w miejsce działań kulturalnych, co wiąże się z jego przebudową. „Trzeba z żywymi naprzód iść, po życie sięgać nowe...”. Ale jednocześnie nie wolno zapomnieć o bolesnej historii tego miejsca - rozstrzelaniu mieszkańców Częstochowy na placu katedralnym w pierwszych dniach wojny, czy prowadzonej paręset metrów od katedry wywózcze Żydów z częstochowskiego getta. Pozostał tam budynek stacyjny, który ma być częścią obiektu memorialnego, a jak na razie pozostaje opuszczony i zaniedbany. Także nawierzchnia ulicy z czerwono-brązowej bazaltowej kostki i otoczką pamiętającą ostatnią drogę naszym częstochowskich współobywateli. Przychodzą tam Marsze Żywych, z udziałem prezydenta Częstochowy.

W archikatedralnej kaplicy trwa wieczysta adoracja Najświętszego Sakramentu. W parafii pracują siostry karolanki i małe siostry Baranka - dominikanki. Obecność indyjskich zakonnic zaproszonych do Częstochowy przez ks. Dudę świadczy o powszechności Kościoła. Działają też różne wspólnoty świeckich, wśród nich Arcybractwo Świętej Rodziny.

Na progu nowego stulecia katedry przeprowadzone zostały misje święte przez ks. dr. Włodzimierza Cyrana wraz ze wspólnotą Przymierza Rodzin Mamre, w sposób charakterystyczny dla Odnowy w Duchu Świętym. Otwarte spotkania tej wspólnoty, połączone z charyzmatyczną modlitwą o uwolnienie i uzdrowienie, również się w katedrze co miesiąc odbywają. W 2008 r. w katedrze świętowanego jubileusz arcybiskupa Stanisława Nowaka. Okolicznościowe kazanie wygłosił arcybiskup metropolita lubelski Józef Zieliński, który pochodzi z diecezji częstochowskiej i podtrzymuje więzi z Częstochową, uczestnicząc na przykład prawie co roku w seminarium interdyscyplinarnym na Politechnice. Zaś w niedzielę 25 stycznia 2009 r. miało miejsce pod przewodnictwem arcybiskupa metropolity Stanisława Nowaka główne diecezjalne nabożeństwo Roku Świętego Pawła. Na zakończenie dobrze będzie zauważyć, że na specjalne życzenie arcybiskupa, wśród wykonanych za proboszczowania ks. Predera przez Józefa Pyrza rzeźb Apostołów, umieszczonych w katedrze, znalazły się figury św. Marii Magdaleny - w Kościele wschodnim nazywanej równą Apostołom - oraz właśnie św. Pawła Apostoła.

Władysław Ratusiński

OKRUCHY PAMIĘCI

Katarzyna Lampa

Władysław Sebyła - wybitny, choć nieco zapomniany poeta Dwudziestolecia międzywojennego; malarz, eseista, krytyk literacki, kompozytor, tłumacz poezji francuskiej i rosyjskiej. Urodził się 6 lutego 1902 roku w Kłobucku. Członek literackiej grupy „Kwadruga” oraz redaktor czasopisma literackiego o tym samym tytule. Jego twórczość zawiera się w nikłym objętościowo zbiorze, na który składają się tomiki: „Modlitwa” (1927), „Pieśni szczurolapa” (1930), „Koncert egotyczny” (1934), „Obrazy myśli” (1938). Zginął prawdopodobnie w kwietniu 1940 roku zastrzelony strzałem w potylicę w lasach pod Katyniem.

Rozmowa z Andrzejem Sebyłą – bratankiem poety Władysława Sebyły

Katarzyna Lampa: Czy zapamiętał Pan jakieś doświadczenia, szczególnie wspomnienia z dzieciństwa związane z osobą Władysława Sebyły?

Andrzej Sebyła: Z tego okresu zapamiętałem wyprawę z rodzicami, był to rok 1937, do Warszawy. Kilka dni spędziliśmy w mieszkaniu wuja Władysława, który mieszkał na ulicy Brzeskiej 5 na Pradze. To było moje pierwsze i niestety ostatnie spotkanie z wujem Władysławem w Warszawie, które zapamiętałem z uwagi na zabawy z jego synem Witoldem, wspólne spacerowanie i zwiedzanie miasta. Pamiętam również, jak rodzice czieszyli się przyznanego w roku 1938 wujkowi przez Polską Akademię Literatury odznaczenia „Złoty Wawrzyn”. Każdy wydany tomik jego poezji był, jak sobie przypominam, omawiany w naszym domu, z czego ja w tym wieku niewiele rozumiałem. Mam jeszcze wiele innych wspomnień, ale wybacz Pani, są to wspomnienia o charakterze prywatnym.

Jakie relacje łączyły Władysława i jego brata Stefana? Czy utrzymywali bliskie kontakty? Sabina Sebyłowa w „Okładce z pegazem” raczej nie wspomina o relacjach braci.

Mój ojciec był bardzo zżyty z bratem, ponieważ razem się wychowywali, mieli kochającą matkę. Po śmierci matki, powtórny ożenku ojca i przeniesieniu

się do Sosnowca, ojciec mój opuścił dom rodzinny, ale razem z Władysławem brali udział w kampanii 1920 roku. Gdyby o tym epizodzie wiedział Urząd Bezpieczeństwa po powrocie mego ojca z Anglii w 1947 roku, to pewnie inaczej potoczyłyby się losy całej naszej rodziny. Władysław, po zdaniu matury w Sosnowcu, wyjechał do Warszawy gdzie rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej, ale po roku przeniósł się na wydział Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W Warszawie osiadł na stałe. Mój ojciec skończył Seminarium Nauczycielskie i podjął pracę nauczyciela w Sosnowcu. W roku 1928 obaj założyli rodzinę. Z opowiadań wiem, że moi rodzice byli dziewiątego września 1928 roku na ślubie Władysława z Sabiną, w Krakowie. W tym czasie bliskie kontakty między naszymi rodzinami były jedynie listowne i sporadyczne, z uwagi na odległość. Wuj Władysław częściej wstępował do nas do Dąbrowy Górnicej, czy potem do Będzina, w czasie swoich podróży po Polsce. Moja mama i Sabina raczej się nie przyjaźniły.

Jak potoczyły się losy Witolda i Sabiny po wojnie w Warszawie?

W czasie wojny, wiem to z opowiadań, przeżyli bardzo boleśnie bombardowania i burzenie lewobrzeżnej Warszawy, co bardzo odbiło się na psychice Witolda. Po wojnie mieszkali w dalszym ciągu na ul. Brzeskiej 5, w mieszkaniu, które zajmowali przed wojną. Pokój poety przez cały okres wojny i w pierwszych latach po wojnie był w stanie nienaruszonym. Pianino otwarte, skrzypce, przybory do malowania, nuty i książki na miejscu, na którym pozostawił je Władysław. Oczekiwali na jakąkolwiek wiadomość od ojca i męża. Tak to utrzymywali, jak relikwie, aż do lat pięćdziesiątych. Pragnę dodać, że zdolności artystyczne miał również mój tata, Stefan. Pięknie malował, wiele obrazów mego ojca jest u mnie, u mojej siostry oraz wśród znajomych naszych rodziców. Witold ukończył liceum na ul. Jagiellońskiej. Potem studiował muzykologię. Ciotka Sabina pracowała w Polskim Radiu. W 1948 roku przeniósłem się do Warszawy, gdzie rozpocząłem naukę w Liceum Lotniczym. Początkowo mieszkalem u wuja Jerzego (brat przyrodni Stefana i Władysława), we Włochach pod Warszawą. Wielokrotnie odwiedzałem Witolda i ciotkę Sabinę. Już w czasie studiów, ale również po studiach, nasze kontakty były coraz rzadsze. Witold był humanistą i muzykologiem, ja zdobywałem wykształcenie techniczne. Witold po ukończeniu studiów pracował w Polskim Radiu. Sabina Sebyłowa zmarła 22 lutego 1980 roku, a Witold - 4 listopada 1995 roku.

PAMIĘĆ



Fot. Leszek Pilichowski

W roku 1993 na częstochowskim cmentarzu Kule stanął Pomnik Katyński, upamiętniający oficerów polskich pochodzących z ziemi częstochowskiej, z rozkazu Stalina zamordowanych przez NKWD w kwietniu 1940 roku. Wśród wielu wykutych na pomniku nazwisk widnieje: ppor. poeta Władysław Sebyła

Czy w rodzinie Władysława i w Pana rodzinie istniała świadomość, co tak naprawdę wydarzyło się w 1940 roku? Czy Sabina była świadoma faktu, że Władysław zginął z rąk Sowietów? Czy rozmawiano w domu z Panem na temat śmierci Władysława?

W 1943 roku Niemcy ujawnili w wydawanych wówczas w Będzinie gazetach w języku polskim (teraz mam świadomość, że informacje te były publikowane w całej Polsce), że w lasach pod Katyniem, koło Smoleńska, na terenach radzieckich, wówczas przez Niemców okupowanych, znajdują się masowe groby polskich oficerów. Jak pamiętam, moja matka wraz ze swoim bratem Stanisławem listy te szczegółowo czytali i omawiali. W następnych tygodniach podane zostały informacje, że władze niemieckie powołały grupę specjalistów z medycyny sądowej i kryminalistyki, która stwierdziła, że oględziny wydobytych ciał wykazały jednoznacznie, że wszyscy zostali zamordowani strzałami w tył głowy. Informacje te obiegły cały świat. Wówczas jeszcze nikt nie zdawał sobie sprawy ze skali tego mordu i nikt z naszej rodziny nie wiedział, że w Starobielsku został wówczas zamordowany

Władysław Sebyła. Po wojnie, po powrocie z Anglii, ojciec mój musiał otrzymać od swoich znajomych z Anglii informacje o losach swojego brata (w latach 1948 – 1950 Lista Katyńska została opublikowana w tygodniku „Orzeł Biały” w Londynie), gdyż w domu były prowadzone rozmowy, że Władysław został zamordowany przez Sowietów w Katyniu. Mam wrażenie, że informacje te dotarły również do ciotki Sabiny, która była tego faktu świadoma.

Jak odnosi się Pan do twórczości Władysława, tzn. czy czytuje Pan utwory wuja? Czy jest Panu bliska jego poezja, bo jednak jest to trudna twórczość?

Poezja Władysława Sebyły jest bardzo różnorodna w swojej formie i treści. Część wierszy jest napisana takim językiem, że trudno ją zrozumieć nawet wybitnym fachowcom. Dlatego jest, według mnie, bardzo ważne, by jak najwięcej i najczęściej była ona omawiana przez różne gremia. Okoliczności śmierci poety nie sprzyjały popularyzacji jego twórczości, toteż nazwisko Sebyły pozostaje znane wąskim kręgom znawców literatury. W latach młodości rzadko do jego wierszy wracałem. Teraz wracam coraz częściej, a stało się to w maju 2000 roku za sprawą młodzieży szkolnej miasta Kłobucka, która tak pięknie recytowała wybrane utwory poety na uroczystości poświęconej nadania Szkoła Podstawowej nr 1 w Kłobucku imienia Władysława Sebyły.

Jak potoczyły się losy rodziny Michała Sebyły – ojca Władysława, bowiem wiadomo, że ożenił się ponownie? Czy są potomkowie z tego związku?

Ojciec Władysława i Stefana, Michał Sebyła, był nauczycielem i kierownikiem pierwszej szkoły powszechnej w Kłobucku. W czasie pobytu w Kłobucku w 2000 roku czyniłem na cmentarzu poszukiwania grobów matki i siostr Władysława i Stefana, jednak nie udało mi się ich odnaleźć. Zwiedzając Kłobuck, zostałem miłe zaskoczony, że jedną z ulic mieszkańcy nazwali ulicą Władysława Sebyły. Jest pokazana na planie Kłobucka. Drugie małżeństwo, niestety, znacznie pogorszyło atmosferę rodzinną. Stefan opuszcza dom ojcowski jako czternastoletni chłopiec. Władysław po maturze w 1921 roku wyjeżdża na studia do Warszawy. Z drugiego małżeństwa Michała urodził się, w roku 1917, syn Jerzy Sebyła, który w czasie wojny przebywał w Warszawie, brał udział w Powstaniu Warszawskim. Z opowiadań wiem, że w końcowej fazie powstania Jerzy kanałami przedostał się ze Śródmieścia na Mokotów. Z tego związku przyszła na świat córka Danuta.

Czy jako młody człowiek uświadamiał sobie Pan, że Władysław Sebyła był w Dwudziestoleciu znany i doceniany poeta?

Jako młody człowiek nie uświadamiałem sobie, kim tak naprawdę był brat mojego ojca. Pamiętam rozmowy rodziców przed wojną, że wuj Władysław był związany z grupą literacką Kwadryga, że pisał wiersze, malował. Był także redaktorem naczelnym pisma literackiego „Kwadryga”. Takie pismo pojawiało się czasami w domu, prawdopodobnie przysyłane dla mojego ojca. Wuj w tym czasie wiele podróżował, do Włoch, do Francji, ale również jeździł po kraju z odczytami. Wówczas czasami wpadał do swojego brata w Będzinie...

Pamięć Władysława Sebyły jest żywa tak w jego rodzinnym Kłobucku, jak i w całej Polsce.

W Kłobucku jest szkoła imienia Władysława Sebyły oraz Ośrodek Kultury. Coraz częściej nazwisko poety jest przywoływane przy różnego rodzaju rocznicach, upamiętniających mordercy w Katyniu. Dzięki staraniom Towarzystwa Historycznego im. Szembeków doszło do skutku (w roku 1998) wznowienie wierszy poety, w postaci tomiku „Nie wierz grzechom moim”. W sześćdziesiątą rocznicę zbrodni katyńskiej wydawnictwo Norbertinum z Lublina opublikowało książkę Elżbiety Cichli-Czarniawskiej poświęconą Władysławowi Sebyle pt. „Władysław Sebyła – życie i twórczość”.

W 2000 roku Towarzystwo ogłosiło III Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Władysława Sebyły. Celem konkursu było nawiązanie do wartości, jakie niesła twórczość poetycka Sebyły. W kwietniu tegoż roku komitet organizacyjny zorganizował w Kłobucku uroczystość poświęconą 60. rocznicy zbrodni katyńskiej i śmierci poety – mieszańca miasta. Towarzystwo Historyczne im. Szembeków zorganizowało też w Domu Polonii w Warszawie wystawę „Ludzie Katynia”, która przypomniała ofiary systemu. Znaczną część ekspozycji poświęcono wybitnemu poecie okresu międzywojennego i liderowi „Kwadrygi”. Odbyło się sympozjum naukowe, a w programie rocznicowym „Ojczyzna moja a ty trwasz” wystąpiła młodzież z Kłobucka.

18 kwietnia 2000 roku Fundacja „Golgota Wschodu”, z jej duchowym przywódcą ks. Zdzisławem Peszkowskim a z pomocą Dzielnic Warszawy-Sródmieście i Stołecznej Estrady, zorganizowała w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela koncert pamięci pt. „Modlitwa”. W 65 rocznicę Zbrodni Katyńskiej, 18 kwietnia 2005 r. Muzeum Niepodległości w Warszawie i Towarzystwo Historyczne im. Szembeków zorganizowało w pałacu Prebendowskich – Radziwiłłów kolejne sympozjum ph. „W cieniu Katynia”.

SZEŚĆ MILIARDÓW LUDZI JAK TY z twórcami częstochowskiego spektaklu „Patrz, słońce zachodzi” rozmawia Dominika Radkowska

Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie jako pierwszy w Polsce przygotował w lutym premierę dramatu Sybille Berg „Patrz, słońce zachodzi”. Jest to spektakl szczególnie pod kilkoma względami. Opiera się na mocnych, obnażających psychiki bohaterów monologach. Zbliża widzów fizycznie do aktorów, usadawiając publiczność na scenie. Skupia uwagę maksymalnie na emocjach i historiach bohaterów, w czym pomaga prosta, funkcjonalna scenografia i brak dźwięków innych niż głosy aktorów. W krótkim czasie na niewielkiej przestrzeni konden-

suje bardzo wiele przeżyć i przemyśleń, prezentując je przy minimum działań na scenie. Wreszcie wdziera się do naszych myśli o samych sobie zmuszając do określenia swojego bytu – podobnego jakie czynią postaci w sztuce. Reżyserii sztuki niemieckiej prozatorki i dramatopisarki podjęła się częstochowianka Bronisława Nowicka.

Dominika Radkowska: *W sztuce Berg nie ma didaskaliów - są tylko monologi. Postaci mówią, ale autorka nie zarysowuje żadnych sytuacji. Czyją więc pracą są w tym spektaklu pomysły adaptacyjne, kto określa sytuacje, zachowania bohaterów? Ile jest tu z sugestii reżyserskiej, a ile z kreacji aktorskich?*

Bronisława Nowicka: Tekst Berg wymagał adaptacji. Adaptacja należy do reżysera. Dokładna analiza tekstu do reżysera i aktora. Aktorzy wykonali kawał wspaniałej – rzetelnej, uczciwej pracy. Próby zaczęły się kilkoma spotkaniami grupowymi. Później odbywaliśmy próby indywidualne. Ten etap trwał miesiąc. Po miesiącu wszystkie byty [postaci] zaczęły współistnieć. Tekst, ponieważ jest szeregiem naprzemiennych monologów i postaci nie wchodzi w interakcje, stwarzał możliwość prób indywidualnych. A to jest bardzo dobry czas dla aktora i dla reżysera, jest gwarantem spotkania i intymności.

Antoni Rot: Nie zgodzę się. Dużo jest pierwiastka reżyserskiego. To wyjątkowa sytuacja, nie spotkałem się z taką szansą na indywidualne próby, rozmowy. To, co się pomyślało o tej postaci, można było na te próby przynieść i odkryć jak karty w pasjansie.

Bronisława Nowicka: Nasze próby zaczęły się kilkoma spotkaniami grupowymi. Później odbywaliśmy próby indywidualne. Ten etap trwał przez miesiąc. Po miesiącu te wszystkie byty zaczęły współistnieć. Myślę, że tekst, ponieważ jest szeregiem naprzemiennych monologów i z założenia postaci nie wchodzi ze sobą w interakcje, stwarzał możliwość do prowadzenia prób indywidualnych. A to jest bardzo dobry czas dla aktora i dla reżysera, bo jest gwarantem spotkania i gwarantem intymności.

Cecylia Putro: Myślę, że tworzy się zawsze wspólnie. To nie jest tak, że reżyser czy aktor wymyśla coś indywidualnie. Dogadujemy się wspólnie do pewnych założeń i staramy się to realizować.



Fot. Piotr Dłubak

Antoni Rot: Proces dojrzewania postaci przebiegał w miarę spokojnie i była szansa na to, żeby to było własne, żeby można się było pod tym podpisać. Niektóre rzeczy, jeśli było za dużo zaproponowane, były zdejmowane, wiadomo – jest to praca zespołowa i oprócz tego, że każdy ma swój wycinek, to jeszcze musi być jak w nonencie (zespół sztuki składa się z dziewięciu osób), żeby nic nie było zachwiane w porporcjach.

W tej sztuce nie ma również akcji. Interpretacja aktorska gra ogromną rolę. Powiedźcie o elementach, cząstkach postaci, które stopniowo przynosiłicie na próby.

Antoni Rot: Mnie się podoba w sztuce sekwencja z wyświetlanymi zdjęciami. Poszukiwanie postaci w moim przypadku wyglądało tak, że najpierw sobie bohatera, wyobraziłem, potem znalazłem idealny odpowiednik na tych próbach. Dogadaliśmy się natychmiast co do jego zewnętrżności, która zdeterminowała potem wnętrze postaci. I za to dziękuję, że była otwartość. Dzięki temu pomysł, co prawda zewnętrzny, pozwilił na to, żeby ruszyć w określonym kierunku.

Czy ktoś z Was szukał inspiracji do roli w świecie, który reprezentuje jego bohater?

Iwona Choluż: Ja – w supermarkecie. Podglądałam kasjerki. Widziałam, że są smutne, nie patrzą nikomu w oczy. Albo rozmawiają ze sobą tak, jakby ludzi nie było, pokrzykują nad ich głowami – ty, masz tam fajki? – A im większy supermarket, tym gorzej.

A n t o n i
Rot: Iwona teraz powiedziała ważną rzecz o niemożności spotkania się między ludźmi twarzą w twarz. Ślizgamy się po twarzach ludzi, a naprawdę nikogo nie obchodzi, co w tym drugim siedzi. Niby się spotykamy, ale w rzeczywistości tylko się przybliżamy

ciałem i nic nie wiemy. Jest to – już nie powiem wielkiego słowa “samotność” – ale takie wyobcowanie.

Myślę, że również boimy się tego kontaktu z obawy przed reakcją innych ludzi, w akcie obrony przed ich wniknięciem w nasze życie. Wszystkie postaci pojawiające się sztuce prowadzą życie w pojedynkę. Są nie tylko samotne, ale są same. Jesteś reżyserem etiud fabularnych i dokumentalnych, spektakli obrazujących ludzkie problemy. Czy interesuje Cię również temat samotności jednostki wśród innych ludzi?

Bronisława Nowicka: Interesuje mnie człowiek. Nie wybieram sobie samotnego bohatera, dlatego że on wydaje mi się szczególnie atrakcyjny przez swoją samotność.

Czy znajdujesz u Sibylle Berg coś, co łączy jej powieści i dramaty?

Bronisława Nowicka: Tak. Jej powieść “Ludzie szukają szczęścia i umierają ze śmiechu” to też szereg opowiadań-monologów.

Kim jest “Człowiek, który zamieszkał w zoo”?
Jak określiłicie dlaczego tam zamieszkał. Czy to jakiś eksperyment?

Bronisława Nowicka: A jak Ty myślisz? Jestem ciekawa, jak widz odbiera tę postać.

Sądzę, że chciał zrezygnować z rutyny, z tego, co go ogranicza, z tego, co na co dzień musi wykonywać





Fot. Piotr Dłubak

w określony sposób, na przykład chodzenia o tej samej godzinie do tej samej pracy...

Antoni Rot: Dointerpretowanie tego w określonym kierunku chyba nawet nie powinno nastąpić, bo każdy sobie to poukłada w głowie inaczej. Myślę, że gdyby zapytać każdego widza indywidualnie, co to było dla niego, to każdy powiedziałby co innego.

Bartku, jak Ty szukałeś tej postaci?

Bartosz Kopec: W oryginale ta postać nazywa się Pies Zatyckowy. Ponieważ jednak w sztuce jest określenie, że znajduję się on w pomieszczeniu cuchnącym człowiekiem, my doszliśmy do wniosku, że tą postacią może być człowiek. On prowadzi eksperyment, nagrywa własną relację z tego, co robi. Notuje na przykład: dzień piąty - nie potrzebuję ubrania, będę śpiewał i tańczył, nie idę do pracy, a co? On chce zacząć żyć, a nie być w kieracie, więc burzy to, co zawsze miał poukładane. Chce zacząć decydować o tym, co się z nim dzieje. Ta postać ma być uzupełnieniem, tłem do całego pierwszego planu postaci. Tamci bohaterowie mówią o tym, co by chcieli, a czego nie zrobili. Człowiek z zoo zrobił to, co chciał. On jest przykładem na to, że czasami warto zaryzykować, zmienić swoją drogę. Czy mu to wyjdzie na dobre - nie wiadomo, ale chodzi o sam fakt, żeby zrobić ten krok. A jak szukaliśmy... Wszedłem do klatki, zaczęliśmy rozmawiać o tym, w jakich okolicznościach on funkcjonował. Określiśmy, że to człowiek korporacji. Zapytaliśmy, dlaczego nie zabrał ze sobą przedmiotów, prócz dyktafonu. Odpowiedzieliśmy na te pytania i doszliśmy do tego, jakie działania będzie wykonywał.

Ale on jeszcze nie wie, jaki jest wynik jego eksperymentu, to znaczy, czy jest szczęśliwszy zmieniając całkiem swoje życie?



Fot. Piotr Dłubak

Bartosz Kopec: Myślę, że jest, bo coś zrobił w tym kierunku w przeciwieństwie do pozostałych.

Zapytam o Widok - postać upośledzonej dziewczynki odtwarzaną przez panią Sylwię. Ona zdaje się nie mieć świadomości jakości swojego życia, nie analizuje go jak inne postaci.

Sylwia Karczmarczyk: Tacy ludzie są szczęśliwsi w świecie, w którym się znajdują, bo wszystko ich potrafi cieszyć. To jest coś, czym wygrywają w życiu. bo gdyby mieli świadomość, kim są, jakie mają braki, byłoby najbardziej nieszczęśliwymi ludźmi na świecie. Na szczęście nie posiadają tej świadomości, reagują bardzo prosto. Albo się z czegoś cieszą, albo



Fot. Piotr Dłubak

placzą, albo się bardzo denerwują. Są bardzo bezpośredni w swoim przekazie emocjonalnym. Nie czują ograniczenia tym, co kultura nakazuje. Oni się do takich reguł nie stosują. I przez to możliwe, że ich świat jest dla nich piękny. Im się nie da narzucić żadnego rygoru. Można ich porządnie ubrać, umyć, ale będą zachowywać się tak samo.

Dlaczego ta postać nazywa się Widok? Czy Berg tak ją nazwała?

Bronisława Nowicka: Tak, bo ludzie mają złe widoki albo dobre. To jest „brzydki widok”. Wychodzę jednak z założenia, że metafor nie można grać. Nie można grać upośledzonego widoku, ani psa zatyckowego w ZOO. Ja bym tego nie zaryzykowała. Nie zawsze można iść za literą tekstu, żeby stworzyć wiarygodną postać. Chcieliśmy stworzyć postaci z krwi i kości. Dlatego Bartek i Sylwia grają ludzi, a nie pojęcia abstrakcyjne czy zwierzęta.

Andrzeju, kim jest Twoja postać?

Andrzej Iwiński: To chory facet, który walczy z chorobą. Na przekór robi wiele rzeczy. Nie może palić – pali, nie może pić – pije. Ma to w nosie po prostu. To go trzyma przy życiu, nie poddaje się.

Jakie refleksje wywołuje w Was praca nad tym materiałem?

Maciej Półtorak: Myślę, że to, co chcemy tym spektaklem powiedzieć, jest prawdziwe, to naprawdę się dzieje dzisiaj i teraz. To jest spektakl, który jest na czasie. Może się wydawać, że jest kontrowersyjny. Życie jest kontrowersyjne... Wszystko jest wzięte z życia w skali 1:1. Jeżeli ktoś się czuje obrażony, to znaczy, że żyje pod kloszem.

Antoni Rot: Albo nie żyje.

Maciej Półtorak: A dobór postaci, który popeliła pani Berg, jest ciekawy i abstrakcyjny zarazem. Przez to, że te postaci są anonimowe, każdy może znaleźć jakieś odniesienie.

Dziękuję za spotkanie.

Rozmawiała Dominika Radkowska



Fot. Piotr Dłubak

Sibylle Berg „Patrz, słońce zachodzi”

**Przekład – Karolina Bikont,
reżyseria – Bronisława Nowicka,
scenografia – Stanisław Kulczyk,
reżyser światel – Adam Lenart**

Obsada:

**Iwona Choluj – Kasjerka
Sylwia Karczmarczyk – Widok
Sylwia Oksiuta – Ona
Sebastian Banaszczyk – Rak
Andrzej Iwiński – Chory
Bartosz Kopeć – Człowiek, który zamieszkał w zoo
Maciej Półtorak – On
Antoni Rot – Knajpiarz**

Premiera 21 lutego 2009



Fot. Piotr Dłubak

TEATR

STACHURA

Nowa premiera naszego teatru, zapowiadana jako recital utworów Edwarda Stachury w wykonaniu Piotra Machalicy.

Muzyka Jerzego Satanowskiego (on sam na wiadoni), w kapitalnych aranżacjach Marcina Lamcha. Kontrabasieście towarzyszyli na gitarach Dariusz Bafeltowski i Krzysztof Niedźwiecki. Wyraz i wykonanie muzyki więcej niż na piątkę. Nagrać na płytę i sprzedawać. Naprawdę: duuużo rzecz!

Piotr Machalica śpiewający teksty Stachury - przeciętny. Krzyk, gniew, pasja. Jak u Włodzimierza Wysockiego. Zupełnie nie jak u Steda, gdzie nostalgia, smutek i melancholia. No, może się obronił w piosence „Dziś są moje urodziny...”

W spektaklu przeważa jednak słowo mówione, a właściwie czytane, jawnie lub ukradkiem. Tekstami Stachury obdarzał widzów dyrektor teatru, Robert Dorostawski. Myślałem, że kryzys albo grypa powaliły zespół i dlatego dyrektor, choć nie jest aktorem, nie schodził ze sceny. Pewnie też, z tego przejęcia, zapomniał, że nawet recital powinien mieć jakiegoś reżysera.

Scenografia minimalna: stoliki z pomysłów Magdy Umer i to wszystko. Aha, jeszcze ogromny, czasem poruszający skrzydłami - ptak, żółw? Stach Kulczyk się nie napracował.

Po spektaklu mały bankiet. Mizernie mało wina, sporo nadejcia. Dyrektor dziękował aktorowi Machalicy, że tenże zechciał grać z amatorem. Słusznie, choć to chyba od dyrektora zależy obsada spektaklu. I wszystko inne też. Gdyby zezwolił puścić samą muzykę, byłby wybitny koncert.

Marian P. Rawinis



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak



Fot. Piotr Dłubak

Truchcikiem po galeriach

W Konduktorowni, siedzibie częstochowskiej Zachęty, Piotr Kaniecki zaprezentował artystyczne osiągnięcia w zakresie niekonwencjonalnego malarstwa pejzażowego. Jest to malarstwo zdecydowane w kolorystycznych rozstrzygnięciach, ekspresyjne i syntetyczne - w pierwotnym zamyśle poszukujące przestrzennego znaku, adekwatnie wyrażającego postrzeganą rzeczywistość; znaku reprezentującego istotny zamysł kompozycyjny, rozpoznawalnej nie tylko w kolorycie czy we fragmentaryczności ornamentu wyobrażonej malarskiej prawdy o przedstawionym temacie. Struktura obrazu Kanieckiego oparta jest o zrytmizowany określony kierunek w całościowym jego układzie. Kierunek wyartykułowany malarsko. Te podstawowe kompozycyjnie - generalnie wielokrotnie trafne - intuicyjne wybory kształtu i charakteru, potwarzanej rytmicznie plamy kolorystycznej, kładzionej zwykle alaprima, nadaje temu malarstwu dokatkowej płynnej świeżości. Urody pierwszego zobaczenia i osobnego innego widzenia pejzażu. W niektórych pracach artysta odmiennie decyduje się na szkicowy linearyzm, wzmocniony

świecącym efektem temperaturowego kontrastu kolorystycznego. Całość prezentacji interesująca, kilka obrazów z wysokiej malarskiej półki.

W tym samym czasie w Konduktorowni wystawiali swoje prace graficzne studenci Instytutu Plastyki Akademii Jana Długosza ze specjalistycznej pracowni uzupełniającej Litografii na kierunku Malarstwo, prowadzonej przez prof. Krystynę Szwa-jowską. Zaprezentowali się: Marta Budziszewska, Łukasz Gawron, Marcin Jakubczak, Magda Jasińska, Piotr Mizga, Leszek Paszkowski, Damian Wilk oraz Olga Żakowicz. Ich dokonania są różnorodne, bardziej tradycyjne w sensie papierowej odbitki z kamienia, jak i te nietypowe, tworzące obiekty graficzne. Te inne kompozycje i rozwiązania graficzne pokazali Łukasz Gawron i Piotr Mizga.

W galerii OPK „Gaude Mater” Zdzisław Wiatr pokazał „Pejzaże prawosławne”, zrealizowane w czasie plenerowych wyjazdów do szkoły pisania ikon w Biełsku Podlaskim, w rejonie Beskidu Niskiego, Bieszczad i Białowieży. Trwające od 1997 r. malarskie penetracje w sferze kultury materialnej prawosławia, jak i piękna krajobrazu wschodnio-południowych rubieży Polski, przyniosły interesujące artystycznie dokonania. Zwłaszcza w postaci pięknych „duchowych” portretów oraz ekspresyjnych krajoobrazów kulturowych. Zdzisław Wiatr, wytrawny rysownik, grafik zdobywający się w swych pracach na wewnętrzną emanację nie tylko porzemijającego czasu, ale również żywej pamięci oddziaływania pokoleń, otwiera malarskie drzwi również na zwyczajne piękno tego wszystkiego, co trwa od wieków w kulturowanych tradycjach. Widoczne jest w tych pracach, że te intrygujące klimaty prawosławnych pejzaży są bardzo pogłębione wyrazem spotkań i rozmów z ludźmi wrośniętymi w te specyficzne krajoobrazy.



Fot. Leszek Pilichowski



W klubie „Hormon” Julia Panek pokazała grafiki komputerowe. Prace te, wykorzystujące fotografie figury postaci ludzkiej jako punkt wyjścia, zdążają do poszukiwania i konkretyzacji znaku współczesnej cielesności czy pewnej matrycy wizerunku w sensie popartowskiego syntetycznego portretu. Wizerunki te zawierają też klimaty muzycznego transu. Inne kompozycje używają litery jako typograficznego komunikatu, obrazują w kontrkulturowym wydaniu przenikające się światy, przestrzenie i zjawiska, wzięte czy wprost zacytowane, z codzienności. Wernisaż był fajnym towarzyskim spotkaniem przebiegającym w nieskrepowanej atmosferze.

Lukasz Huculak z Wrocławia przedstawił swoje intrygujące malarstwo w Miejskiej Galerii Sztuki. Tytuł wystawy „Obok jest brak” trochę zbyt wydumany, kieruje naszą uwagę na te wysublimowane, wyartykułowane specyficznym chłodnym światłem dzieła, realizowane temperą na płótnie. Przestrzenie nastrojowe, jakby senne, wyobrażone przez malarza, są obrazem bezgłośnego scenariusza czy dramatu. Cisza jest początkiem zdarzenia. Przedstawione postaci w różnych gestach i pozach, wpisane są w koloryt tej narracyjnej architektonicznie przestrzeni. Artysta stawia sobie i nam pytanie o możliwość wyjścia z tej i przejścia w inną - być może doskonalszą. Wystawa warta zobaczenia, polecam.



Fot. Leszek Piłichowski

Magda Siejko ze Świdnika, absolwentka ASP w Krakowie (a wcześniej częstochowskiego liceum plastycznego), przedstawiła swoją przestrzeń malarsko-rzeźbiarską na antresoli Konduktorowni, pt. „W obliczu cielesności”. Ta teatralizowana w sensie scenograficznym przestrzeń przywołuje nie tylko wyobrażenia malarskie umęczonego ciała ludzkiego, ale również zainstalowane rzeźbiarskie odlewy elementów kończyn, rąk i nóg, być może odrąbanych czy uciętych. Traumatyczne, duchowe przeżycie istot ludzkich autorka wystawy przedstawia w celowo przejmującym

wyrazie. Są to wielkoformatowe prace, realizowane w ograniczonej paletce czerni, brązów i czerwieni, w których odczytujemy zwykle szereg ekspresyjnie zdeformowanych, kadłubowo komponowanych figur ciała ludzkiego, poukładanych w różnych dotkliwych konfiguracjach. Tragiczność losu naszej cielesności w wykonaniu młodej artystki jest śmiała i przekonująca, odważna w wyrazie. Twórczo nawiązuje bez wątpienia do prac Grzegorza Bednarskiego, prof. krakowskiej akademii, jak i do malarskich osiągnięć wielkiego maga deformacji ciała ludzkiego, Francisca Bacona.



Fot. Leszek Piłchowski

Konduktorownia była też miejscem wystawy Altei Leszczyńskiej pt. „Anioły samobójców”. Zaprezentowano tam kompozycje wyobrażające przestrzeń malarską w ten sposób, jakby były to miejsca tragicznych zdarzeń, jednocześnie przywołują postaci zdezelowanych, zdeformowanych, odartych ze swej anielskości aniołów. Interesujące grafiki o bardziej wyrazistej i skonkretyzowanej postaci niebiańskich bytów dopełniły całość wystawy. Wernisaż, który odbył w piątek 13 marca, ściągnął liczną publiczność zainteresowaną rozwojem talentu autorki tej malarsko-graficznej prezentacji.

Witold Skulicz, prezes Stow. Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie, przygotował wystawę składającą się z prac wykonanych przez najlepszych współczesnych grafików japońskich. Prezentacja nazwana „Magia grafiki japońskiej” zawiera 101 odbitek 64 autorów, wykonanych w różnych technikach: akwaforta, akwatinta, mezzotinta, drzeworyt, linoryt, fotooffset, serigrafia. Znakomite grafiki Toshihiro Hamano, Honda Eiko, Kasai Masuhiro czy Endo Susumu są ozdobą tego starannie dokonanego wyboru zaprezentowanego w MGS w Częstochowie.

Marian Panek

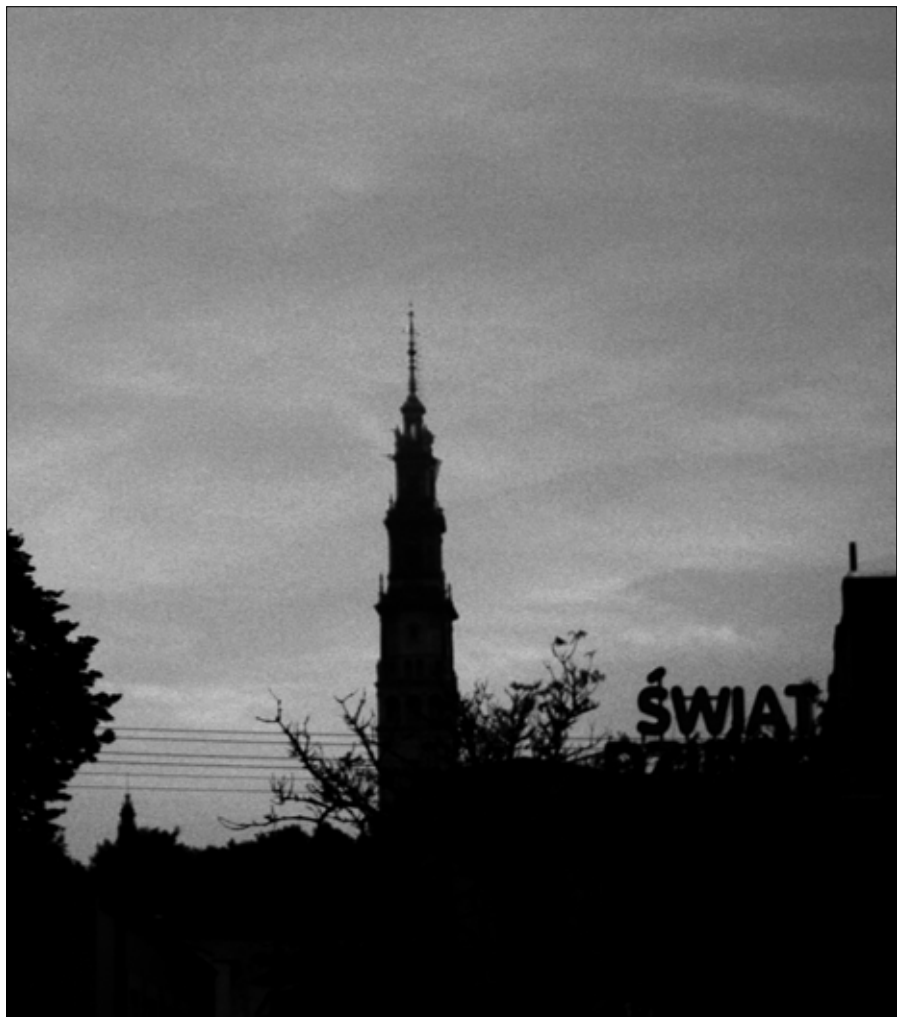
GALERIA



Fot Leszek Pilichowski



GALERIA



Fot. Marek Grajcar

Marian P. Rawinis

KOZIOŁEK I PĄCZKI*Z cyklu: Dziennik podróży do miasta B.*

Po przeprowadzce na ulicę Mickiewicza, moja codzienna droga znacznie się wydłużyła. Za stawami, przy gospodarstwie ogrodniczym, trzeba było skręcić w Drewnianą a zaraz potem w prawo, w Gdańską. Ta prowadziła wprost do szkoły usytuowanej przy skrzyżowaniu z Jagiellońską.

Wędrowanie Gdańską było przyjemne, a czasem niebezpieczne. Wąski chodniczek wiódł nad brukowaną jezdnią, trzeba było przeciskać się tuż obok ścian drewnianych domów, obok parkanów i płotów, za którymi w niewielkich ogródkach stały, wśród zieleni i kwiatów, niewielkie domki. Miały werandy, otwarte lub zabudowane, a czasem tylko ławki do siedzenia, przy drzwiach na zewnątrz, z daszkami chroniącymi przed deszczem. Niektóre domki należały do rodziców moich szkolnych kolegów, jak ten zaraz na początku ulicy, po prawej, gdzie mieszkał Heniek Caruso. Jego ojciec, niewysoki mężczyzna o pięknych, falujących włosach, był Włochem, co Heniek musiał tłumaczyć za każdym razem, gdy w klasie pojawiała się nowa nauczycielka. Tak, Caruso przez ce i przez es, Henryk Caruso.

Lubiłem patrzeć na ogródki wokół domów, na grządki z warzywami, na drzewa owocowe, na wielkie ilości drewnianych szczap na opał, równiutko poukładanych pod ścianami. Lubiłem patrzeć na werandy, na okiennice i na kominy. A także na drewniane schody, wydeptane tysiącami stóp przez wiele lat. Albo na okna, w niektórych budynkach położone tak nisko nad poziomem ulicy, że poprzez franki i perlargonie na parapetach można było zajrzeć do środka mieszkań. Bardzo podobnie wyobrażałem sobie ulice w Nowogrodku, miściece podobno drewnianym i przestronnie rozrzuconym, gdzie Adam Mickiewicz, patron naszej szkoły, pobierał pierwsze nauki.

Gdańską chodziłem już wcześniej, jeszcze wtedy gdy mieszkaliśmy pod adresem: Ładna numer dziewięć. Ulica Gdańska mogła być niebezpieczna dla samotnego wędrowca, zwłaszcza jeśli miał pięć lat. Tyle liczył sobie mój brat i nie mógł samotnie wracać z przedszkola przy ulicy Konopnickiej, ktoś musiał go odprowadzać do domu. Ja miałem już siedem lat, zacząłem uczęszczać do szkoły i przypadł mi w udziale ten rodzinny obowiązek. Brat był mały, nawet nie wiedział o istniejącym zagrożeniu. A istniało; przy każdym domu brama lub furka mogła być otwarta czy tylko niedomknięta, groźne psy, pieski i kundle,

hałaśliwe i napastliwe, nader chętnie wybiegały na ulicę za każdą możliwością naddarcia chłapięcych spodenek. Starszy brat szedł prowadząc młodszego za rękę, czasem go wyprzedzał, bacznie obserwując furtki, a w razie potrzeby ryglował zamki, dociskał zasuwki lub kołki. Byłem pełen dumy, ponieważ wiele razy udało mi się uniemożliwić groźnym ujadaczom niecie zamary niespodziewanego wtargnięcia na ulicę.

Ale to nie były prawdziwe niebezpieczeństwa. Prawdziwe czaiły się dalej, prawie już pod szkołą. Pierwszym był człowiek w cyklistówce. Pojawiał się znieacka, zupełnie nie wiem, z jakiego domu wychodził, wygrażał nam kułakiem i słowami, ilekroć przechodziliśmy w pobliżu. Było to nieprzyjemne i groźne, gdy zbliżał się do nas z zaciśniętymi pięściami uniesionymi nad głową. Byliśmy grzeczni i spokojni, ale dla człowieka w cyklistówce nie miało to znaczenia, nie zwracał uwagi na nasze manierę, groził a czasem biegł za nami i odchodził dopiero wtedy, gdy nas już porządnie nastraszył.

Drugi powód głośnego, trwożliwego bicia serca był biały, rozbrykany i miał rogi. Biały koziołek pał się swobodnie na drugim brzegu ulicy, na trawie. Przechodziłem, zobaczył mnie, podszedł zaciekawiony i nagle zaatakował rogami. Nie bolało, ale nie należało do przyjemności. Następnego razu, gdy przechodziłem Gdańską, powtórzyła się sytuacja, i jeszcze raz. Po kilku dniach, koziołek już z daleka, gdy tylko mnie zobaczył, wybiegał na spotkanie. Z nastawionymi rogami pędził wprost na mnie, próbowałem uciekać, ale po tej stronie ulicy były tylko ściany, płoty i zamknięte furtki. Poznałem ich odciski na plecach, gdy koziołek w końcu mnie dopadał i przyciskał rogami od przodu.

Długo bałem się tych spotkań, wchodząc w ulicę, rozglądałem się trwożliwie i zaklinałem w duchu, żeby białego koziołka nie zobaczyć. A on prawie zawsze tam był, czasem pod opieką małej, schyłkowej babci, trzymającej go na sznurku. Ale i wtedy nie byłem bezpieczny. Na mój widok koziołek natychmiast wyrwał postronek z ręki staruszki i biegł w moją stronę, mimo jej okrzyków i nawoływania.

Szukając ratunku przed złym człowiekiem i groźnym koziołkiem, doszedłem do wniosku, że powinienem omijać ulicę Gdańską. Postanowiłem poszukać ulicy równoległej. Nie wiedziałem jeszcze, co to równoległość, podobnie jak nie wiedziałem, że ulica następna, to uliczka ślepa, z której nie ma wyjścia innego jak tylko z powrotem. To był Zaulek Zakopiański.

W Zaulku mieszkał Staś, wielkie chłopisko, chodzące strasznie ogromnymi krokami. Mówiono, że jest chory na głowę i z tego powodu niebezpieczny.

Czasem stawał nagle na środku skrzyżowania ruchliwych ulic i kierował ruchem pojazdów albo niespodziewanie przyłączał się do kogoś, kto szedł w tę lub tamtą stronę i długo mu towarzyszył. W kościele farym, dokąd każdej niedzieli uczęszczaliśmy na nabożeństwa, Staś stawał blisko ołtarza, zaraz przy barierce dzielącej prezbiterium od reszty świątyni. Był wielki, gestykulował, skutecznie zastępując innym widok na piękne rzeźby ołtarza i na samego księdza. Staś, choć ogromny i silny, nigdy nie wydawał mi się niebezpieczny. On tylko rwał się do towarzystwa, co rzadko kto odbierał dobrze, może czasem wystraszony jego wielkością i przemożną chęcią pomagania. Ludzie pukali się w czoło na widok Stasia, powszechnie uważali za głupiego i nieszczęśliwego, i mówili: biedny Staś. Może tak było, a może nie. Nigdy nie czułem przed nim obawy, a dużo później zrozumiałem, że Staś był po prostu dużym dzieckiem, ogromnym zewnętrzeńczo człowiekiem o dziecięcej duszy i dziecięcym postrzeganiu świata. Czy był nieszczęśliwy, nie wiem, ale pewnego dnia widziałem pełne szczęście na jego obliczu. Chodnikiem wzdłuż ulicy Mickiewicza szedł wolnym krokiem nasz pan listonosz, w mundurze oczywiście, a przy nim dostojnie kroczył Staś niosący wypchaną, skórzaną torbę z listami. Szedł i rozglądał się, uśmiechając się do wszystkich: widzicie, zdawał się mówić, widzicie jaki jestem ważny i jaki jestem potrzebny? Jestem listonoszem. Bardzo chciał założyć czapkę z daszkiem, ale pan listonosz zgodził się tylko na przymierzenie, bo czapka stanowiła część munduru, a pan listonosz, doręczyciel jeszcze przedwojenny, pilnie przestrzegał regulaminu.

Powodowany bojaźnią i koniecznością, zostałem Kolumbem i trudziłem się dla odkrycia bezpiecznego szlaku. I wreszcie odkryłem. Należało przejść trochę dalej Drewnianą, tuż za Zaułkiem skręcić w ulicę Lwowską, ta zaś doprowadzi nie tylko do szkoły nr 3, gdzie już uczęszczałem, ale i dalej aż do ulicy Ładnej! To było chyba moje pierwsze odkrycie o charakterze topograficznym, na długo wcześniej, zanim z powodów koleżeńskich zacząłem poznawać inne ulice tej dzielnicy mojego miasta: Bednarską, Kołodziejską, Podleśną, Bracką, Przemysławą. Teraz więc często przemierzałem Lwowską, z zadowoleniem unikając spotkania z groźnym człowiekiem i rozbrykanym koziołkiem, który nigdy mnie nie polubił.

Na Lwowską wchodziło się troszkę pod górkę, była niebrukowana, nie miała ani skrawka chodnika, nie wszystkie parcele wzdłuż niej zabudowano, tu i tam pleniły się zarośla, świeciły łachy piasku. Najpierw mijało się wielki i stary drewniany dom na rogu, piętrowy, gdzie mieszkało kilka rodzin, dalej domek mniejszy, z gankiem, a potem zaczynały się

już budynki nowe, postawione niedawno, z cegły, otynkowane, pod czerwonymi dachówkami. Po lewej stronie, pod numerem trzecim, obok domu funkcjonował znany warsztat stolarski. Mniej więcej na jego wysokości, za placikiem rozciągającym się przy ulicy, stała w ogrodzie willa również mieszcząca warsztat – piekarniczy. Ten pierwszy zainteresował mnie w kilka lat później, gdy zacząłem bywać w tym domu; mieszkał tam mój kolega a później przyjaciel, Janusz T.

Ale najpierw zwróciłem uwagę na dom po parzystej stronie ulicy. Nie mogłem go nie zauważyć. Był duży, dom dostatni, z daleka widać było dym, który o każdej porze unosił się nad czerwonym dachem. To mnie początkowo zdziwiło, nigdy wcześniej takiego zjawiska nie widziałem. Dym miał swój własny smak i zapach, zupełnie inne niż znane mi dotąd. Gdy zawiewał silny wiatr, szare kłęby toczyły się po ulicy, daleko niosąc specyficzny aromat, nigdzie indziej nie spotykany. Piekarnia pracowała w nocy czy może bardzo wcześnie rano, biały lub siwy dym pojawiał się już o poranku. Niósł ze sobą zapach świeżego, ciepłego jeszcze pieczywa. Nie chleba, który pachnie pięknie, ale jakby delikatniejszy i bardziej ulotny: zapach bułeczek. Zetknięcie z takim dymem bywało bardzo przyjemne.

Któregoś dnia poczułem zapach inny, nowy, i jeszcze piękniejszy. Zapach pączków, świeżutkich, ciepłych, z chrupiącą skórką, z warstwą lukru na wierzchu, a marmoladką w środku, koniecznie różaną. Nigdy i nigdzie pączki nie pachniały tak pięknie jak na ulicy Lwowskiej. Załowałem, że mogę chodzić tam tak rzadko, mógłbym nieustannie wdychać te oszałamiające cudowności. Oczywiście, wcześniej jadałem pączki, w przedszkolu i w domu, żadne jednak nie pachniały tak pięknie i żadne zapewne tak nie smakowały. Marzyłem o możliwości ich skosztowania.

Aż pewnego dnia, gdy zjawiłem się na ulicy Lwowskiej wcześnie rano, zobaczyłem je na własne oczy. Jakiś mężczyzna wynosił z domu tace pełne pączków, które następnie ładował do otwartego samochodu. Przystanąłem w pobliżu i patrzyłem, czy może raczej przystanąłem i chłonałem ów najwspanialszy aromat. Domyślałem się, że pączki pojadą samochodem gdzieś do sklepów i cukierni, by tam radować podniebienia chętnych. Nie wiedziałem, gdzie znajduje się cukiernia, w naszym sklepie były pączki, ale niewiele przypominały w smaku te, które widziałem tutaj – choć pachniały świeżością, nie była to świeżość ciepła, lukrowana, różana i zupełnie niezwykła.

Marzyłem o tym, żeby skosztować, a jeszcze lepiej objeść się do syta takimi jak tutaj pączkami. Było

to jednak niemożliwe, te przeznaczono na sprzedaż. Nawet się nie spodziewałem, że człowiek, który zajmuje się przewozem wyrobów cukierniczych, zechce mnie poczęstować. Rozumiałem jego zaferowanie, taka praca jest bardzo atrakcyjna, a na pewno daje też wiele okazji, żeby najeść się świeżych pączków ile tylko zechce, i to choćby każdego dnia. Ze wszystkich zajęć zawodowych funkcją rozwoziciela słodczy wydawała mi się najbardziej pociągająca, no może lepsze było tylko bycie mistrzem cukierniczym – ten to dopiero mógł się objeść! Pamiętałem, jak wyglądały kucharki w przedszkolu, gdzie pracowała moja mama - wszystkie były grube, pewnie bez przewry coś jadły, wybierając oczywiście co smaczniejsze i tylko co smaczniejsze kaški. Tamtego dnia zapewne odczuwałem głód. Był bowiem okres wielkiego postu, a moja matka pilnie przestrzegła religijnych wskazań. Przyjmowałem to naturalnie, ale zapachy i apetyty nie ulegały przez to zmniejszeniu.

Tego dnia los obdarzył mnie niezwykłą szansą. Przechodziłem ulicą Lwowska, powietrze pachniało jeszcze mocniej niż zwykle. Samochód stał przed ogrodzeniem piekarni, miał otwarte tylne drzwi i widać było wewnątrz pojazdu liczne tace z pączkami. Zdażyłem to zobaczyć, zanim z piekarni wybiegł mężczyzna, w pośpiechu zamknął drzwi a następnie usiadł za kierownicą i odjechał.

A obok miejsca, gdzie niedawno stał samochód, na kamieniu, została taca. Taca ze świeżymi pączkami. Zobaczyłem ją, zapomniałem w pośpiechu, zanim samochód zniknął w głębi ulicy. Zawołałem, ale kierowca nie usłyszał mnie i się nie zatrzymał.

Rozejrzałem się niepewnie, wokół nie było nikogo. Furtka w ogrodzeniu, za którym znajdowała się piekarnia, pozostawała zamknięta. Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że jest to znak, szczególnie pozwolenie wydane tylko dla mnie. Że mogę sprawdzić, jak smakuje pączek. Było ich na tacy dwadzieścia, cztery rzędy po pięć sztuk. Uznałem, że jeśli zjem jednego, nikt tego nie zauważy. Zapach był tak silny, nie mogłem z nim walczyć, nie mogłem się oprzeć. Miałem świadomość, że nie robię dobrze. Przecież ktoś z piekarni prędzej czy później wyjdzie na ulicę w poszukiwaniu zguby. Albo kierowca samochodu przyjedzie po następną porcję towaru. Ale pączki wprost wołały do mnie...

Wziąłem jeden w palce, był ciepły kiedy go ugryzłem, marmoladka w środku omal nie oparzyła mi przelyku. O! O smak takiego pączka mi chodziło, taki sobie wyobrażałem, okazał się chyba nawet jeszcze lepszy. Drugą ręką poprawiłem pączki na tacy, jednak choć bardzo się starałem, niestety, wyglądało na to, że jednego brakuje, jeden rzadek był mniejszy niż pozostałe.

Mój pączek smakował tak bardzo, że nie mogłem powstrzymać się przed wzięciem drugiego. Spróbowałem. Obiecałem sobie, że tylko tyle, ale zaraz przyszło mi do głowy, że jeśli zabiorę ten rzadek do końca, prawdopodobnie nie będzie widać mojego działania. Zostanie przecież wtedy na tacy równo - cztery rzędy po cztery pączki. Dlatego zjadłem kolejne trzy. Ale nie udało mi się poprzestać pozostałych tak, aby nie było widać, jak wiele ubytków spowodowałem. Nikt mnie nie powstrzymał. Ulica Lwowska nadal była zupełnie pusta, nie przechodził nikt, nikt nie przejeżdżał.

Kiedy wchłonąłem trzeci rzadek pączków poczułem, że zaspokoilem wreszcie nie tylko smak ciasta, lukru, marmoladki, ale także i zaspokoilem głód. To wtedy przyszła mi do głowy zbawienna teoria, że jeśli pojawi się ktoś z piekarni i zobaczy pustą tacę, nie domyśli się kradzieży. Pomyśli, że pączki zabrał kierowca samochodu dostawczego. Jeśli zaś pierwszy zjawi się kierowca, zapewne pomyśli, że to ktoś z piekarni zebrał pączki, aby się nie zmarnowały na powietrzu. Tak czy inaczej, uznałem to za dobre alibi i zjadłem czwarty rzadek. A następnie piąty. Nie czułem już smaku, napychałem się z przymusu, nie czułem żadnej przyjemności ze smaku i zapachu, chodziło już tylko o zatarcie śladów.

Zatarłem ślady i szybko odszedłem z tego miejsca. Miałem poczucie, że zrobiłem źle, bałem się, że ktoś widział, jak stałem tam, w zielsku przed bramą, i na pewno połączy moją obecność ze zniknięciem pączków. Nie chciałem się narazić na rozpoznanie, wycofałem się w kierunku ulicy DREWNIANEJ, by następnie Gdańską iść w kierunku szkoły. Oglądałem się za siebie wielokrotnie, ale nikt mnie nie gonił, nikt za mną nie krzyczał. Nie było nawet białego koziołka. W szkole, pomiędzy tłumem dzieciaków w takich samych mundurkach, odzyskałem poczucie bezpieczeństwa. Wkrótce jednak poczułem, że coś nie jest w porządku. Pączki w moim brzuchu leżały kamieniem. Ciężły, ból nasilał się z każdym krokiem. Chodziłem wolno, byłem błądy, co szybko wzbudziło zainteresowanie mojej wychowawczyni. Pani Karetko zobaczyła, jak nagle kucnąłem na drewnianej podłodze pokrytej pyłochłonem. Pytała, co mi jest, nie mogłem powiedzieć prawdy, dawałem jedynie do zrozumienia, jak wielki odczuwam ból. Wysłała mnie do gabinetu lekarskiego, ale tego dnia nie było w nim nikogo, nawet pani higienistki i szczęśliwie nikomu nie musiałem się tłumaczyć. Kolega Jędręk, który mieszkał tuż obok mnie, zaproponował, że zwolni się z pozostałych lekcji i odprowadzi mnie do domu. Pani Karetko uznała to za dobry pomysł. Bardzo mi przy tym współczuła, że nie mogę wziąć udziału w zaplanowanej klasowej i szkolnej uroczystości: przecież

to tłusty czwartek, ominie mnie świeży, smakowity, pachnący pączek!

Jędrę wykonał swoje zadanie bardzo odpowiedzialnie, odprowadzając cierpiącego kolegę aż do drzwi klatki schodowej. W domu nadal byłem chory i chorowałem jeszcze wiele godzin. Mama, gdy wróciła wreszcie z pracy i zastała mnie chorego, nie wiedziała jak ma pomóc. Sam też tego nie wiedziałem, nie mogłem się przyznać, że przyczyną może być nadmiar ciepłego ciasta. Musiałem cierpieć w milczeniu. Leżałem więc w łóżku, zaciskałem zęby i modliłem się o przebaczenie. Obżarstwo, nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu, należały do poważnych grzechów. Dobrze to wiedziałem z lekcji religii. Tym bardziej, że nie poszedłem na nauki tego dnia, zaprawdę, wielki ciężar przewinienia czułem nie tylko na sobie, ale i w sobie.

Fizyczny ból wreszcie jakoś minął. Ten drugi, leżący na sumieniu i siedzący w głowie, ciągnął się za mną bardzo długo. Następnego dnia bóle nie były już tak dokuczliwe, ale musiałem trochę symulować, żeby moje schorzenie uczynić bardziej wiarygodnym. Zaniepokojona matka zaprowadziła mnie do lekarza, ten zaś uznał opisane objawy za poważne i postanowił umieścić mnie w szpitalu. Może nawet będziem operować - zapowiedział. Nie bardzo wiedziałem, co to znaczy, ale nie miałem wyboru. W efekcie, kilka długich tygodni, w tym święta wielkanocne, spędziłem w szpitalu.

Pamiętam ten pobyt z kilku względów. Najpierw, że przebywałem w zamkniętej szpitalnej sali, co nie wydawało się najlepszym rozwiązaniem w czasie, gdy zieleniły się drzewa a słońce i ciepły wiatr wzywały do zabaw na powietrzu.

Drugi powód dotyczy dnia, w którym dowiedziałem się, że jednak nie będę operowany, gdyż właściwie jestem zdrowy. Uciążliwe i przykre były badania, wiedziałem już także, co znaczy operacja i z rezygnacją skazańca czekałem tylko na wykonanie kary za moje wielkie grzechy. Niespodziewana amnestia oznaczała więc coś więcej niż zwykłą radość. Szczęśliwie dla mnie rozwiązanie przypisywałem wysokiej, kosmicznej interwencji. Zapewne racja nie leżała daleko. Ponieważ to tego właśnie ranka wpadła do naszej do sali pielęgniarka, niosąc stos gazet, które wśród okrzyków zachwytów i radości rozrzuciła zaraz po naszych łóżkach. Wołała: cud, dzieci, prawdziwy cud! Cały świat wołał, ponieważ był to dzień 13 kwietnia 1961 roku. Poprzedniego dnia pierwszy człowiek na świecie, Jurij Gagarin, oderwał się od Ziemi i poleciał w Kosmos...

Przez długi czas omijałem ulicę Lwowską. Chodziłem znowu Gdańską, nie bacząc na groźbę spotkania z białym koziołkiem lub z człowiekiem, który wygrażał pięścią. Ale i tym razem nie miałem wyboru. Bałem się rozpoznania na ulicy Lwowskiej. Przez długi czas, na pewno co najmniej kilka miesięcy, nie mogłem patrzeć na pączki czy ciastka, nie znosiłem ich zapachu. Na samo wspomnienie robiło mi się niedobrze. Ale minęło. Z czasem zapomniałem o tym przykrym ciężarze w żołądku i o dotkliwym poczuciu winy. Aż wreszcie przeprosiłem się z pączkami. W tłusty czwartek zawsze powraca do mnie tamta dziecięca przygoda. Powraca także ów zapamiętany smak i zapach. Żadne pączki, których wiele zjadłem później, żadne nie smakowały nigdy tak, jak tamte, z ulicy Lwowskiej. Zwłaszcza ten pierwszy. No, może trzy lub cztery pierwsze...

M.P. Rawinis



Fot. J. Piernikarski

Ciężką zimę ptaki przeżyły tylko dzięki naszej pomocy

ireland.pl (3)

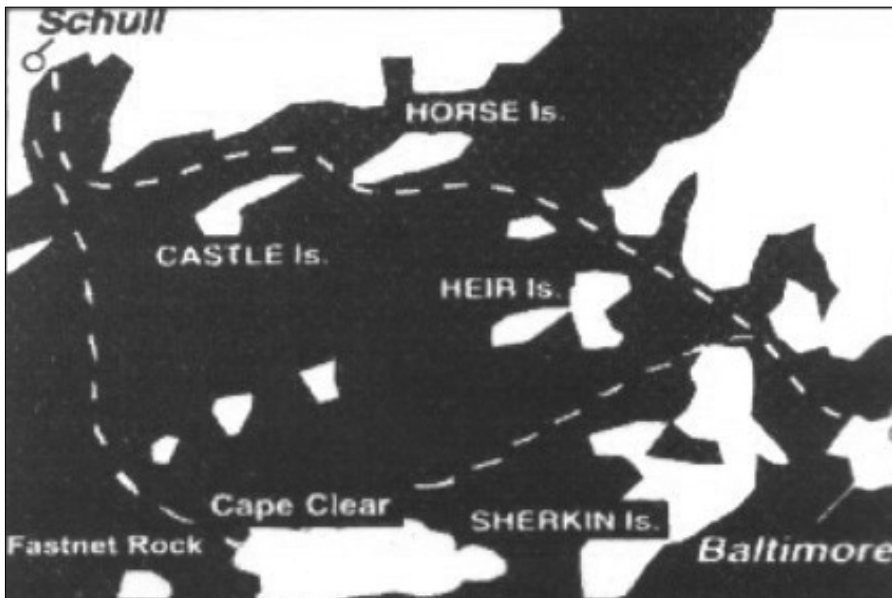
Adam Key-Królikowski
Kapitan Molloy

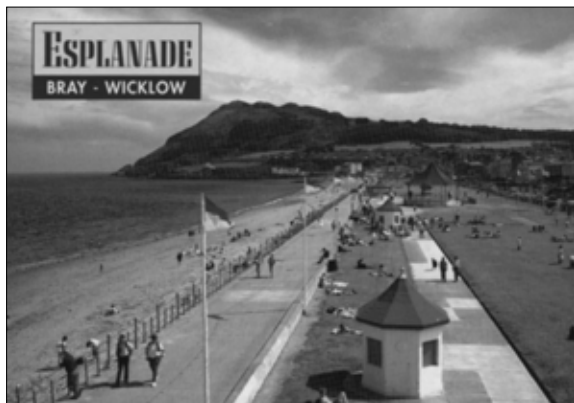
Nadszedł już dzień, wietrzny i deszczowy, mojego wyjazdu z Clear Island – rozstania się, mając nadzieję na krótko, z tą pełną uroku wysepką. Rano jak zwykle zjadłem na śniadanie me ulubione irlandzkie specjalności: dwie bułki zwane scones, pomarańczowy Dubliner cheese, popijając ów zestaw squeeze`m. Przeoczyłem jednakże fakt, że ponieważ skończył się już sezon, kurs statków również uległ zmianie, przez co – nie zdecydowawszy się na rejs do Baltimore – musiałem czekać aż do wieczora. Wreszcie, około szóstej, długo wyglądany „Karycraft”, czyli stateczek obsługujący połączenie wysepki z Irlandią, wpłynął do portu. Na pokład, wraz ze mną, zabrała się tylko para młodych Niemców, Amerykanie – mąż i żona – z dwójką małych dzieci, oraz starsze małżeństwo Szwajcarów.

Za sterami „Karycrafta” stał kapitan Kieran Molloy – około pięćdziesięcioletni, obdarzony dużym poczuciem humoru i silnym irlandzkim akcentem, wilk morski. Kiedyś, gdy wspomniałem mu, że znam jego siostrę Mary – z domu Molloy – O`Driscoll, oraz

wzmiankowałem, skąd pochodzę, specjalnie zmienił kurs statku, chcąc pokazać mi tzw. Polską Wyspę, Polish Island, środkową w grupie trzech Calves Islands. Wysepki owe leżą w połowie drogi do portu Schull, dokąd płynęliśmy, całą zaś osmiomilową trasę „Karycraft” pokonuje zwykle w 45 minut. Teraz jednak, widzieliśmy to po coraz bardziej wzburzonym morzu, na tak krótką podróż wcale się nie zanośiło.

Skierowaliśmy się więc w prawą stronę, ku oddalonej o jakąś milę Wyspie Sherkin, gdyż kapitan Molloy, przy tej niepogodzie, nie chciał ryzykować płynięcia na wprost, otwartym morzem – w końcu to przecież Atlantyk. Zatem, w coraz bardziej sztormowych warunkach, rzucanym na boki „Karycraftem” minęliśmy Sherkin – wysepkę wielkością zbliżoną do Cape Clear, kształtem natomiast przypominającą jakby pomniejszoną Irlandię. Byliśmy już w pół drogi do Wyspy Heir, gdy naraz zerwał się silny wiatr, a z nieba lunęły na nas tony deszczu. Poza tym jednak, że przestaliśmy cokolwiek widzieć, nie było jeszcze tak źle. Dodam, że cały ów maleńki archipelag zwie się Carbery`s Hundred Isles – choć nie wiem, czy rzeczywiście wysepek jest w nim aż sto. Tylko kilka z nich nadaje się do zamieszkania, kilkanaście jest chyba na to zbyt małych, a kilkadziesiąt to po prostu wystające z wody nagie skały. To przez te sterzące z wody lub nieznacznie ukryte pod nią iglice poszedł już na





dno niejeden statek. Miejsce to odsłaniało teraz przed nami swe prawdziwe oblicze, a jego nazwa – Roaring Water Bay, czyli Zatoka Huczących Wód, okazała się w pełni zasłużona.

Byliśmy już o jakieś półtorej mili od Heir, gdy „Karycraftem” jak gąbką zaczęło nagle rzucać na boki, a ogromne fale co rusz zalewały nam pokład. Powąge sytuacji uświadomiłem sobie jednak dopiero wówczas, gdy przechył statku był już tak duży, że mój plecak pomknął na drugą stronę kabiny, a ja sam musiałem się szybko złapać, żeby nie potoczyć wraz z nim. Wszyscy podróżni złapali się czegoś, a panika zaczęła narastać tym większa, że przez zalewane wodą szyby nie widzieliśmy absolutnie nic. Młodzi Niemcy zbledli i zamilkli. Starsze małżeństwo Szwajcarów na głos jęło wzywać Boga. Dzieci skryły się przy matce i jedynie Amerykanin uczepiony okna rufy na bieżąco komentował sytuację. Ja zaś w duchu, przypomniawszy sobie lekcje irlandzkiego, zacząłem modlić się tymi słowy: glas súil, bean fhionn, ard, dathuil, mómhar, fineálta, cailin, a inion ó, breá, áille, cosantach, a stór, cailin, mé chailin, cailin... I wtedy stała się rzecz cudowna i całkiem nieoczekiwana. W zachrypłym głośnieku rozległ się donośny, lecz spokojny głos kapitana Molloya:

– Panie i panowie, paskudna pogoda. Jesteśmy teraz o milę od Heir Island. W suficie kabiny dla podróżnych, jakby co, znajdują się kapoki. Za chwilę po prawej

burcie wypatrujcie klifów Wypsy Heir.

I po tych słowach w trzeszczącym i zagłuszonym przez fale głośnieku usłyszeliśmy starą irlandzką pieśń – kapitan Molloy zaczął śpiewać.

Naraz, zamiast upiornie, zrobiło się wręcz magicznie. Kapitan miał piękny, głęboki i skupiający całą uwagę słuchaczy głos. Do końca trasy towarzyszyły już nam jego pieśni, harde żeglarskie melodie, do których na harmonii zaczął mu akompaniować ojciec. Z mgieł wyłoniły się klify Heir, po czym jak w apokaliptycznej wizji pojawiały się kolejne wyspy: Skeam, Horse, a wreszcie Castle Island, z ciemnymi ruinami sterzcącego na jej grani

zamku. W końcu, po półtorej godzinie zmagañ, wydostaliśmy się z tego kotła. Przed nami otwierała się już gościnna zatoka Schull, gdy wtem spotkała nas jeszcze jedna duża niespodzianka. We mgle ujrzeliśmy oto wielki, srebrno-zielony okręt marynarki wojennej, z dumnie topoczącą na maszcie irlandzką flagą. Zagradzał sobą niemal całe wejście do zatoki – widać też schronił się tu przed sztormem. Zawinęliśmy wreszcie szczęśliwie i cało do portu.

– Slán leat, go raibh math agat – czyli do zobaczenia i dziękuję – rzuciłem do kapitana, wychodząc wiotkim krokiem na brzeg.

– Slán – odparł jak zwykle ze spokojnym uśmiechem kapitan Molloy, po czym już do wszystkich dodał po angielsku – i zapraszam oczywiście na raz następną!



Elżbieta Hurnikowa

Po Galicji śladami Martina Pollacka

Martin Pollack, pisarz, tłumacz, publicysta, urodzony w 1944 roku w miejscowości Bad Hall położonej w Górnej Austrii, autor przekładów książek Ryszarda Kapuścińskiego na język niemiecki, znany jest od lat polskim czytelnikom. W roku 2000 ukazała się jego książka *Po Galicji. O chasydach, Huculach, Polakach i Rusinach. Imaginacyjna podróż po Galicji Wschodniej i Bukowinie, czyli wyprawa w świat, którego nie ma* (drugie wydanie – Wołowiec 2007, wyd. czarne), w roku 2005 *Ojcobójca. Sprawa Filipa Halsmanna* (Wołowiec, wyd. czarne), w 2006 *Śmierć w bunkrze. Opowieść o moim ojcu* (Wołowiec, wyd. czarne) – wszystkie w przekładzie Andrzeja Kopackiego. Każda z tych książek zyskała uznanie krytyków i pisarzy, którzy dostrzegają w piśarstwie Pollacka nie tylko walory poznawcze, ale także znakomitą warsztat literacki. Poszukiwanie własnej formy zaowocowało różnorodnością gatunkową, takim typem narracji, który łączy reportaż literacki z esejem historycznym czy też z dziedziną antropologii kulturowej, naukowość i rzetelność dokumentacyjną z interesującą fabułą i umiejętnością tworzenia klimatu. Ryszard Kapuściński książkę *Po Galicji* określił (za Cliffordem Geertzem) jako gatunek „zmacony”, sytuujący się na pograniczu wyżej wymienionych, a Andrzej Stasiuk *Ojcobójcę* jako „najlepszy kryminał”, w którym jednakże zagadka nie zostaje rozwiązana.

Chciałabym tu zatrzymać się dłużej przy książce *Po Galicji* reprezentującej w dużej mierze dziedzinę piśmiennictwa określanego jako podróźnikarstwo, mającego bogatą tradycję literacką i obszerną literaturę przedmiotową. Podtytuł zresztą upoważnia do takiego odczytania treści książki, tyle, że zaznaczone jest tu jednocześnie, że jest to podróz „imaginacyjna”. Szczegółowe określenie miejsc, w których się ona odbywa, uruchamia problematykę historyczną i kulturową, jaka łączy się z terminem Galicja. Źródła historyczne dokładnie wytyczają granice Galicji, obszaru dawnej Rzeczypospolitej pod zaborem austriackim w latach 1772-1918, źródło literackie, jak *Austriackie gadanie* czyli *Encyklopedia galicyjska* pióra Mieczysława Czumy i Leszka Mazana (Kraków 1998) pod hasłem „Galicja i Lodomeria” podaje: *nazwa zagrabionych podczas zaborów przez Austrię ziem Rzeczypospolitej. Określenie mające uzasadnić rzekome prawa Habsburgów do tych obszarów* (s. 143). Z hasłem łączy się takie pojęcia, omawiane przez autorów na polu poważnie, na polu żartobliwie, jak: „galicyjska nędra” (s. 145), „galicyjskie supermarkety” (jarmarki, s. 146-147), „Galicyjski Klub Automobilowy” (s. 147) i in.

Termin Galicja otwiera szerokie pole problemowe, które stało się ważną przestrzenią literacką XX wieku oraz przedmiotem bardzo żywej przed laty dyskusji toczącej się na łamach prasy. Dość przypomnieć artykuł Włodzimierza Paźniewskiego *Literacka kariera Galicji* („Polityka” 1978 nr 10), rozmowę Paźniewskiego z Andrzejem Kuśniewiczem zatytułowaną *Galicja, Galicja* („Odra” 1986 nr 10) czy publikację książkowe oraz zamieszczone w pismach pióra Ewy Wiegandt, badaczki zajmującej się mitem Galicji w polskiej prozie współczesnej. Dyskusja ta nawiązywała tematycznie do szerszej refleksji obejmującej znaczenia związane z pojęciem Europy Środkowej (Mitteleuropa), trudnym do jednoznacznego zdefiniowania, uruchamiającym konteksty polityczne, historyczne i kulturowe, oraz do równie bogatego w znaczenia terminu „mit habsburski”. Są one zakorzenione w historii Austro-Węgier, w kompleksie zjawisk, jakie łączy się z upadkiem monarchii Habsburgów, z poczuciem historycznego braku. Tego, który zrodził się, kiedy z dawnego imperium rozciągającego się od Triestu po Ukrainę pozostało po roku 1918 zaledwie 13 procent, kiedy Austria przestała być wielonarodowościową monarchią. Andrzej Kuśniewicz w przywołanej wyżej rozmowie mówił na temat Europy Środkowej: *Przetrawła szczątkowo w tym sensie, że pozostawiła trwałe ślady w różnych dziedzinach ludzkiej działalności. W sferach bardzo zewnętrznych, jak choćby podobieństwo architektoniczne państwowych budynków, teatrów, stacji kolejowych, banków, w sposobach życia kawiarniano-restauracyjnego*. Dyskusja ta uaoaczniała m.in. głęboką potrzebę poszukiwania więzi kulturowych, wspólnych dla obszaru środkowoeuropejskiego tradycji. W literaturze skoncentrowanej na tematach galicyjskich (Buczkowski, Strzykowski, Kuśniewicz) można dostrzec obsesję mówienia o świecie, który zginął bezpowrotnie; w wyniku I wojny światowej przestała istnieć monarchia Habsburgów, w wyniku drugiej - jedność europejskiej kultury (E. Wiegandt, *Mit Galicji w polskiej prozie współczesnej*, „Teksty” 1979 nr 5).

Martin Pollack porusza się w swojej książce po Galicji Wschodniej i Bukowinie, zdając sobie sprawę, że podróz do prowincji na północno-wschodnich obrzeżach upadłej monarchii habsburskiej, gdzie w czasach panowania austro-węgierskiego spotykało się ze sobą tak wiele narodowości, języków i kultur – musi dziś pozostać niespełnionym marzeniem. *Upadek państwa wielonarodowego usunął te regiony oraz ich mieszkańców z naszego pola widzenia, a przemiany polityczne w tej części Europy po drugiej wojnie światowej sprawiły, że i tak już luźne związki, jakie jeszcze istniały, uległy całkowitemu zerwaniu. Tym samym krainy i miejscowości obu tych należących do korony krajów, Królestwa Galicji i Lodomerii oraz Księstwa Bukowiny, skąd przejeżdżały tak wiele ważnych dla kultury impulsów, na zawsze zniknęły z naszych map politycznych i kulturalnych.* (s. 7 wg cytowanego tu wydania z 2007).

Pisarz, który studiował literaturę słowiańską i historię Europy Wschodniej w Wiedniu i w Warszawie, zna doskonale mapę dawnej Galicji i, mimo ostrożnego zastrzeżenia sformułowanego w *Słowie wstępny*, prowadzi czytelnika poprzez wsie i miasta, poprzez punkty przecinania się różnych kultur, poprzez najrozmaitsze środowiska, charakteryzując pejzaże, ludzi, ich zajęcia (woziwoda i bałagała, handlarz, kupiec, „brodzieński śpiewacy”), znane postacie (pisarze, intelektualiści), obiekty architektoniczne (teatry, budynki dworcowe, kawiarnie, hotele), ulice i uliczki. Wylania się z tej relacji wizja krainy, w której każda miejscowość miała swoje określone znaczenie, nadane przez mieszkańców, utrwalone w powszechnej opinii. *Mieszkańcy Galicji uwielbiali porównywać rodzimę krainę i miasta z tym, co istniało na Zachodzie, jak gdyby mogli w ten sposób sprowadzić do przygranicznego regionu monarchii habsburskiej kawałek wielkiego świata: roponośny rejon wokół Drohobycza nazywano „galicyjską Pensylwanią”, malownicze okolice miasteczka Trembowla – „podołską Szwajcarią”, nędzną dziurę Busk – „galicyjską Wenecją”; w tym kontekście ze wszech miar słuszne wydawało się określenie Lwowa: „mały Wiedeń” (s. 218). Charakterystykę prezentowanych miejscowości i rejonów Galicji zapowiadają już tytuły rozdziałów: *Przemysł, centrum świata, Drohobycz, galicyjska Pensylwania, Kołomyja, chwytająca za serce historia Anny Csillag, Przepadł w Brodach i in.**

Galicja w książce Martina Pollacka stanowi wielokulturową i wielonarodowościową mozaikę. Relacja o ludziach i miejscach, o świecie, którego już nie ma, bogata jest w szczegóły, urozmaicana przytaczanymi cytatami z różnych utworów literackich; wszystkie te elementy składają się na całość prezentującą niezwykle fenomen historyczno-kulturowy. Tym bardziej wyrazisty, że należący do epoki minionej, co zapewne przesądza o jego atrakcyjności. Wszak kiedy przestały istnieć Austro-Węgry, w „puste miejsce” po monarchii Habsburgów pojawiła się przeszłość zmitologizowana, jak pisze jeden z badaczy - „monarchia prolongowana” (M. Dubrovic, *Veruntreute Geschichte, Wien-Hamburg 1985*). Tak też stało się z Galicją.

Literackie powroty do czasów i formacji już realnie nieistniejących, ale mocno zakorzenionych w obecnej świadomości, mają ważne znaczenie; mogą ograniczać się do sentymentalno-nostalgicznego reprodukowania obrazów minionego świata, ale mogą też otwierać drogę do głębszych poszukiwań – sięgających korzeni naszej kultury, tak jak to jest w opowieści Martina Pollacka *O chasydach, Huculach, Polakach i Rusinach*.

Tadeusz Gierymski

Jaskółka

moja żona była kiedyś jaskółką
szybowała do mnie i ode mnie
teraz straciła swą lotność jak traci ją z czasem
każdy ptak

siedzi smutna w fotelu, odgarnia z czoła złe myśli
i czeka, na coś bardzo czeka
może na wiatr, który biega po polu i
uniesie ją z fotelom
w kolorowy świat gdzie młody mąż
chodzi z latawcem po czubkach drzew

siedzi, patrzy przez okno
na ginące pnąca śniegu,
na swój los, na swoja młodość
kipiąca oczarowaniem, potrącaną
przez gałązki szmaragdowego lasu

Poczekalnia

Spokojnie odmierz krok – to chłodny wawóz
nieba. Wyblakła fotografia księżycy i gwiazd.
Wypatruj Bereniki. Mitologia szczęścia
obwiedziona oddechem poetów i traw.
Karmilem rozgwiadami wyobraźni kleszcze
i oto jestem smugą niebieskiego pyłu.
Roland z drewnianym mieczem siedzący na kielichu
na pół przegniłej róży. Lekko mogą odejść
z poczekalni centaurów. Zatrzaśnie się wiatr.

POEZJA

Matce

Tyle lat
długich jak nieskończoność
tuliłaś
kochałaś
obdarowywałaś
serdecznym uśmiechem

tyle dni i nocy
długich jak wieczność
czuwałaś
nie spałaś
łzy ocierając ukradkiem
tyle minut i sekund
czekałaś
drżałaś
tłumiąc w sobie obawy
i strach

- skąd w tobie tyle miłości

1967

Moje dzieci
(już porosły im biusty i zarosty)
dziwią się że
nie ufam komputerom
bankowym ofertom
nie lubię mikrofalówek plujących
hamburgerami
z języka nie robię kaleki skaczącego
po strzępach słów
tego spoko tego nara
i nie chcę wiedzieć
co to ściema

moje dzieci
(brak im czasu na własne domy i potomstwo)
gubią nogi
w pogoni za sukcesem
połykają czas nie przezuwając chwili
dłoni w uścisku
nad ranem zasypiając
w betonowych pudełkach
snem ołowianych żołnierzyków
tęsknią za dotykiem
romantycznej panienki z miśnieńskiej
porcelany

moje dzieci
weszły w świat którego drzwi
przytrzymują niejedne palce

2005

Elżbieta Jeziorowska - Wróbel

O ile coś jest prawdą
to wciąż się to zabija -

świat się przewrócił
przygniótł boga
i wypiął się na niego
złotymi pośladkami
mamony

1999

To głupie
zazdrościć robakom

a jednak jest czego
pozbawione rozumu
nie cierpią
z powodu głupoty
własnego gatunku

listopad 2006

Grudniowego poranka
zobaczyłam śmierć
zdziwiłam się

- była piękna

miała twarz mojej matki

grudzień 2001

Elżbieta Jeziorowska -Wróbel. Ur. w Częstochowie, poetka i autorka książek prozatorskich. Pierwszy wiersz napisała w wieku 8 lat, pierwsze opowiadanie w wieku lat 12. Debiutowała w „Nad Wartą” w roku 1979; w tym roku obchodzi jubileusz trzydziestolecia pracy twórczej. Niebawem ukaże się jej najnowsza powieść pt. „Cudze życie”.

Klub Literacki „Metafora”

Piotr Nita

Amator znaczy również miłośnik

Zgodnie z kultywowaną od kilku lat tradycją, w każdy pierwszy czwartek miesiąca w sali klubowej Związku Nauczycielstwa Polskiego przy ulicy Waszyngtona 62 spotyka się gremium Klubu Twórczego „Metafora”. Połączeni zamilowaniem do poezji, własnymi ambicjami twórczymi oraz członkostwem w ZNP, autorzy spotykają się regularnie od lutego 2002; aktualnie zrzeszonych jest 17 osób. Sumptem Związku wydali już trzy antologie własnej poezji - „Wiersze” w 2005 roku, „Za niejednym progim” w 2007 oraz „Codziennosc w lirycie” w 2008. Klub ściśle współpracuje ze Śląskim Klubem Literackim, będącym organizacją macierzystą, a w publikowanych przez katowiczan tomikach odnaleźć można również autorów z „Metafory”.

Potencjał pierwszego zbiorku „Metafory” to entuzjastyczne wiersze, niejednokrotnie, jak można podejrzewać, zbierane przez lata, być może przez lata maglowane, poprawiane i cyzelowane. Drugi zbiorek to już żniwo znacznie krótszego siewu, bo niespełna dwuletnia przerwa dzieli go od poprzednika. Trzeci wychodzi na świat już po kilkunastu kolejnych miesiącach - autorzy z „Metafory” prują niczym z kałasznikowa - trwają twórcze zmagania, aż pot się perli na skroni.

Najczęściej wraz z kolejnymi publikacjami, a co za tym idzie, latami pracy nad twórczością, podnosi się standard każdego kolejnego dzieła. Wynika to z dopełniających się doświadczeń twórcy, z jego dojrzenia, zwiększającego się zakresu świadomości, warsztatowej i życiowej. Twórcy z „Metafory” utrzymują jednak stały poziom, wydaje się, że znaleźli odpowiadający im język oraz rejestr i przy nim obstają. Dlatego ubarwienie swojej serii wydawniczej wydaniem zbiorku tematycznego wydaje się pomysłem jak najbardziej na miejscu.

„Za niejednym progim” czyli drugi tomik „Metafory” posługuje się konceptem podróży jako osią spinającą całą książkę. Przywołane pod tym pretekstem egzotyczne pejzaże i postacie wtlaczają dozę witalności w atmosferę utworów. Rzecz nabiera kolorów, zwłaszcza, gdy każdy z twórców dorzuca swoje trzy grosze do postrzegania podróży, gdyż nie każdy widzi ją tak samo. Jedni podsuwają literackie widokówki z geograficznie określonych miejsc (Bąkowska,

Biskup, Owczarek, Siejka, Wolak, Wosik), inni podróżują tylko w marzeniach (Chrzastek), ktoś jeszcze czytelnika prowadzi ścieżką między baśnią a mitem (Nengo-Tomzik) - rozpoczyna się pokaz slajdów, przegląd optyk podróży.

Ramy koncepcji nie stanowią jednak dla autorów bariery nieprzekraczalnej. Wydatnie obrazuje to zestaw wierszy Alicji Nowak - rozszerza ona koncept antologii i odnajduje odrębny wehikuł podróżowania - język własny, własne słowa, po świecie wewnętrznym wieże nas i prezentuje jego zakątki. Podróż jest tylko pretekstem.

Najbardziej zdyscyplinowane formalnie zestawy umieszczone na początku książki, dlatego podczas lektury odnosi się wrażenie, że rozlaży się jej struktura, pruje się ten koncept, a z początku solidna tkanina traci zwartość - lecz ta dekonstrukcja zaciekawia.

Tematyzowanie w książce poetyckiej nie stanowi wydawniczego novum. By nie wybiegać daleko w przeszłość, posłużę się przykładami dwóch książek z ostatnich lat - wydany w 2008 zbiór wierszy miłosnych autorstwa Andrzeja Sosnowskiego (redagowali Michał Larek i Jerzy Borowczyk) oraz zbiór wierszy religijnych Marcina Świetlickiego (wyboru dokonał Wojciech Bonowicz, wydany w 2007). Najistotniejszą różnicą między tymi publikacjami, a „Za niejednym progim” jest dobór materiału, nad jakim się pracuje. Praktyki dotyczące Sosnowskiego i Świetlickiego to przesiewanie publikowanego już wcześniej dorobku jednego poety w poszukiwaniu pasującego do klucza akcentu. W przypadku „Za niejednym progim” tematyka zbieżna z konceptem była kryterium pierwszej publikacji danego tekstu, a być może nawet stanowiła przyczynę powołania wiersza.

Zerkając pod każdy kolejny wers w poszukiwaniu osobistych, unikatowych przez to i oryginalnych obserwacji lub stanów, stykam się najczęściej z dużą nieśmiałością „metaforzystów” - osobiste, identyfikowalne i ludzkie pierwiastki skrywają za konwencjonalnym rumieniem. Wierszem odpowiadają sobie na pytanie - co powinienem/powinnam zobaczyć w przykładowym Laosie, zamiast - co widziałem/widziałam w Laosie, Birnie, Kalkucie. Postrzegam to jako zbyteczną kurtuazję.

Głosem jednej z poetek przemówiły poglądy grupy dotyczące kierowania się zasadami danych konwencji, stylów, poetyk. Licentia poetica „Metafory” ujęta została w wierszach Haliny Pałki, głównie w „Ja i poezja” (tomik „Codziennosc w lirycie”), gdzie wyrażona zostaje nieufność wobec nowoczesności, jak również pochwała prostoty oraz przywiązanie do rymu, który autorka postrzega jako ostoję tradycji. Ten autotematyczny akcent przebija narosła podczas lektury bańkę, przekracza mały Rubikon - autorzy są świadomi swego stylu.

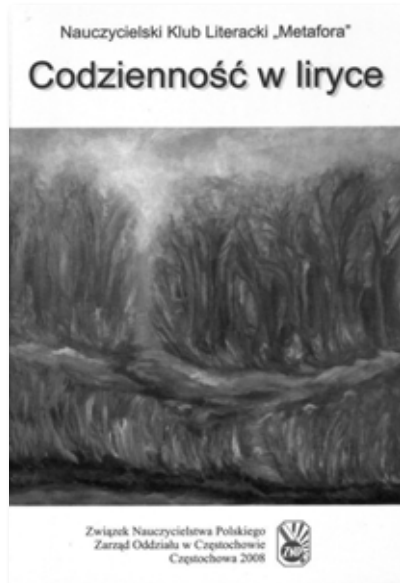
Ponadto, co zaskakuje, brak w tomikach tonu dydaktycznego, mentorskiego. Nic z pouczenia w tych

wierszach, nic z transferu doświadczenia. Zyskana tym sposobem lekkość pozwala cieszyć się tekstami jako spontaniczną, naturalną i przez to bezinteresowną ekspresją.

Jako najczęściej pojawiający się, wspólny rys twórczości zawartej w trzech zbiorach Klubu, uznalibyśmy niemal rytmiczne występujący akcent związany z przemijaniem. Autorzy podejmują się konfrontacji z tym tematem i przeprowadzają czytelnika na terytorium zagadnień fundamentalnych. Niestety, uderzają wtedy w ton bezradności i rezygnacji, teksty nabierają ponurej barwy i trudno czerpać z nich wnioski budujące. Kwesie ostateczne „metaforzyści” przepłatają fotografiami codzienności.

Twórcy z „Metafory” skutecznie realizują swój cel tworzenia własnego, kameralnego środowiska, które nie będzie zorientowane na konfrontacje i konkursy literackie, na profesjonalizację i walkę o czytelnika, chodzi tu bardziej o pielienienie języka i nawożenie wyobraźni – celem jest radość tworzenia. W takim środowisku określenie amator nie jest żadnym zarzutem, gdyż tu każdy wie, że amator to głównie miłośnik.

„Metaforzyści” przygotowują już kolejny tomik, którego premierę zapowiadają na październik 2009. Temat zbioru pozostaje tajemnicą, lecz autorzy już pracują nad jego zawartością.



FOTOGRAFIA z HISTORYJKĄ

Janusz Mielczarek

30 lat Północy

Mija 30 lat od czasu, gdy przy częstochowskiej Promenadzie zaczęły wychodzić spod ziemi ściany pierwszych bloków osiedla Północ. Prace projektowe rozpoczęły się w roku 1974 i z założenia miało to być osiedle dla ponad 30 tys. mieszkańców, a więc największe, jakie kiedykolwiek w mieście wzniesiono w jednej, integralnej przestrzeni. Biorąc pod uwagę postępującą aktualnie degradację miasta, nie sądzę, aby w przyszłości cokolwiek przerosło ten projekt i jego realizację.

Pierwsze bloki Północy, te położone najbliżej Promenady, tzw. osiedle A, powstawały w systemie wielkopłytowym, montowane z elementów pochodzących z wytwórni częstochowskiej przy ul. Bór, wykonywanych metodami chałupniczymi. Jako mieszkaniec jednego z tych bloków wciąż jeszcze usuwam konsekwencje krzywych ścian, podłóg i futryn oraz utkanym szmatami szczelin.

Znając wcześniej lokalizację mieszkania, wbrew tzw. zasadom BHP, zakradaliśmy się do niego, przeważnie w niedzielę, po schodach bez poręczy i oceniali postęp prac. Któregoś razu zerwała się gwałtowna ulewa i wkrótce brodziliśmy w naszym przyszłym mieszkaniu po kostki w wodzie. Okazało się, że rura o średnicy ok. 20 cm, odprowadzająca wodę z dachu, przebiegająca przez łazienkę, osadzona została tak przemysłnie, że jej górna część była akurat obok tej znajdującej się niżej. W ten sposób woda spływająca z dachu wylewała się po prostu na mieszkanie.

Pamiętających realia tamtych czasów nie zdziwi fakt, że na szczęście rurach (pionach) doprowadzających do mieszkania wodę (trzy ciepłą i trzy zimną) nie było ani jednego nowego zaworu. Nowe zhandlowano, a montowano stare rupiecie. Podobnie było z kaloryferami.

Po kilku pierwszych, kolejne bloki osiedla Północ powstawały już z elementów produkowanych w uruchomionej w roku 1979 Fabryce Domów w Lisowie, położonej ok. 30 km od Częstochowy. Fabryka, a przynajmniej jej założenia, tzw. wielkiej płyty W-70, pochodziły z Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Na chwałę gospodarzy pierwszego osiedla Północy zapisać trzeba od początku dbałość o zieleni.

Przypominając ten epizod rozbudowy miasta, jakkolwiek by oceniać sposoby jego realizacji, pamiętać trzeba, że właśnie rok 1979 był tym, w czasie którego w ówczesnym województwie częstochowskim wybudowano i oddano do użytku ponad 3000 mieszkań w tzw. budownictwie społecznym, z tego ponad 70% w Częstochowie. Potem było już gorzej.

Pisząc o produktach Fabryki Domów w Lisowie, z których zbudowane jest osiedle Północ, chciałbym przypomnieć epizod z roku 1972, kiedy jako dziennikarz uczestniczyłem w pierwszej, pokazowej wizytacji na placu budowy fabryki. Oczywiście i nielogiczne było lokalizowanie takiego obiektu ok. 30 km od miasta, na potrzeby którego miał pracować. Znając ówczesne i trwające do dzisiaj układy katowicko-lublinieckie oraz nieustającą awersję władz Śląska do Częstochowy, zapytałem najważniejszego w tamtym gronie sekretarza KW PZPR, dlaczego tak daleko od miasta buduje się fabrykę. Zostałem zgromiony i pouczony, że tak jest najlepiej i, wicie, rozumiecie, transport elementów budowlanych do Częstochowy odbywać się będzie czteropasmową drogą, która powstanie, zanim fabryka rozpocznie produkcję. Fabrykę już diabli wzięli, a drogi nie ma do dzisiaj.

Natomiast ów sekretarz, znany z dyscypliny światopoglądowej i karania surowo za przestępstwa „ślubno-komunijne”, ma dziś honorowe miejsce w kościele w swojej rodzinnej miejscowości. I słusznie. Niech się bije w piersi. Ma za co!

Fotografia z roku 1974.

Na pierwszym planie powstająca Promenada (dziś im. Czesława Niemena) i przecinająca ją ul. Brzeźnicka. Dalej tereny, na których powstała dzielnica Północ (zwana początkowo: Manifestu Lipcowego)



APTEKA

Zbislaw Janikowski

Z aptekami miałem do czynienia niemal od kołyski. Może lekko przesadzam, tamtych czasów niestety nie pamiętam, ale późniejsze już dosyć dobrze. Trwała jeszcze wojna i mama wychodząc z domu niemal zawsze zabierała mnie ze sobą, byłem swoją tarczą i przepustką. W czasach, gdy wyjście na spacer dla wielu kończyło się ujęciem w łapance i wywiezieniem do Niemiec „na roboty”, kobietę z małym dzieckiem nawet najwięksi zbóje w mundurach feldgrau traktowali ulgowo i po wylegitymowaniu puszczali wolno, podobnie jak i w różnych amtach (urzędach) zatawali w miarę szybko i sprawnie. To też chodziliśmy po mieście odwiedzając różne miejsca, między innymi apteki, te najczęściej z mojego powodu. A tam było na co popatrzeć, nawet w tych ciężkich wojennych czasach.

Na mojej tradycyjnej trasie najbliższe położone apteki znajdowały się w drugiej i trzeciej Alei i na Śląskiej. Te w Alejach były podobne w wystroju, prezentowały to, czego dziś prawie już nie można zobaczyć. Bardzo ciemne, prawie czarne lub ciemnobrązowe meble sięgające wysoko, niemal do sufitu, sufit zdobity piękne stiukowe ornamenty. Na Śląskiej meble były z jasnego drewna, świetnie komponującego się z zielonymi dodatkami tapicerki. Charakterystyczne dla aptek z tamtych lat były półki wypełnione wielkimi słojami i całe rzędy zamkniętych szuflad opatrzonych emaliowanymi tabliczkami, na nich na białym tle czarne litery w jakimś niezrozumiałym języku. Łacina, dowiedziałem się o tym dużo później, nim poznałem trudną sztukę czytania. Fascynowały mnie nieznane dziwaczne „calcium” lub „carbon”, niemniej dziwaczne „kalihipermanganicum”, a nawet zamiast wody destylowanej bardzo już dziwaczna „aqua” i coś tam jeszcze. Ta ostatnia stała w wielkiej butli z kranikiem w dolnej jej części i służyła do sporządzania leków, o czym podobnie jak o tej łacinie, dowiedziałem się dużo później. Wróćmy jednak na apteczne półki. Oprócz zamkniętych szuflad i kilku rzędów słoików stały tam jeszcze szklane nieprzezroczyste butle, najczęściej białe, a na nich nalepki, na których już nie napisy, a tylko zbitki dziwacznych liter, o których po latach dowiedziałem się, że były symbolami związków chemicznych.

A gdzie tu miejsce na dziesiątki kolorowych opakowań kryjących przeróżne medykamenty, gdzie ukryte w przepięknych pudełkach wymyślne butelczki i słoiczki kryjące kolorowe pastylki lub nie-

mniej kolorowe syropy, kropelki, maści. Nie ma, półeczka z gotowymi lekami mieści kilka paczuszek, kilka butelek, kilka pudełek. Opakowania też nie takie, szarobure ze zwykłej nielakerowanej tektury, częściej nawet słoik lub fiolka z pastylkami luzem. Odstępstwem były (to te z najdawniejszych moich wspomnień jeszcze z czasów wojny) niemieckie pudełka z aspiryną, blaszane lakierowane w jasnoszarym kolorze a na nich na krzyż ułożony w poziomie i pionie pomarańczowy napis BAYER. Nałykałem się tego niemało, jako że choroby lubiły mnie, choć ja ich nie lubiłem. Jedyny lek, który mi odpowiadał, to były kwaśne pastylki „cebionu” zawierające witaminę C. Przyznaję, że ostatnio bardzo się zdziwiłem, gdy za szybą aptecznej gabloty, na opakowaniu zupełnie niepodobnym do tego z przed lat, przeczytałem dawno zapomnianą nazwę „cebion”. Nie kupiłem, dawnych wspomnień lepiej nie sprawdzać.

Z tamtych dawnych wizyt w aptekach zapamiętałem jeszcze recepty. Lekarz wypisywał je jak dziś, stawiając nieczytelne litery, tajemnicze znaki i do niczego niepasujące cyfry i to coś trafiało w ręce stojącej z drugiej strony lady pani w białym fartuchu. Czytała i przepisywała te bazgroły na wąski pasek papieru, pod który podłożona była kalka i drugi, tym razem pomarańczowy, pasek papieru. Rzadko kiedy nie mogła odczytać lekańskiego zapisu i wtedy o pomoc zwracała się do koleżanki, wspólnie radziły sobie doskonale. Wypisana dyspozycja trafiała do laboratorium mieszczącego się na zapleczu apteki. Na Śląskiej, przez szeroko otwarte drzwi można było przyglądać się laboratoryjnym zajęciom. Kolejna pani ubrana w biały fartuch nabierała ze słoików lub szufladek jakichś proszków, kładła je na cieniutkim, wklęsłym szkiełku, by następnie na małej precyzyjnej wadze odważyć właściwą ilość (to były te tajemnicze cyfry z recepty). Inaczej postępowala z płynami, te pobierała z butli długą pipetą, której górny otwór zamykała kciukiem dłoni trzymającej pipetę. Płyn nie uciekał, nie kapowało aż do momentu, gdy nad próbówką lub zlewką odrywała kciuk od otworu, a zawartość jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki opuszczała rurkę, skierowaną uprzednio w miejsce przeznaczenia. Patrzyłem jak urzeczony, starając się zapamiętać każdy szczegół trudnej operacji, by następnie powtórzyć to w zabawie w domu. Nie wychodziło, co najwyżej oberwało mi się za zalaną wypastowaną podłogę, na której woda zostawiła paskudne plamy. Podobnie było również z solą i cukrem (ten ostatni jeszcze przez jakiś czas po wojnie był deficytowym artykułem kartkowym), z których w najlepszej pamiętkowej filizance, dodając łyżkę sarepskiej (ta nazwa też utkwiła mi w pamięci) musztardy, próbowałem sporządzić cudowną miksturę dla kota. Potem mówili, że kot nie był chory, a według mnie

był i jeszcze dodatkowo podenerwowany swym złym stanem zdrowia – nie chciał przyjąć zaordynowanego mu specyfiku, podrapał mnie dotkliwie i potłukł filiżankę. A domownicy nie chcieli uwierzyć w jego winę, tylko uznali, że to ja, znowu ja byłem wszystkim winien. Przypominałem sobie, kocia miksturę zepsulem chyba dodając zbożowej wojennej kawy „enrilo”, która zawierała sporą domieszkę cykorii, a koty, zdaje się, za cykorią nie przepadają. W każdym razie żółto-brązowa plama na dywanie straszyla dużo dłużej, niż goiły się moje rany po kocich zadrapaniach. Tylko dziadek – mój jedyny obrońca i ordynnik – bagatelizował wszystko, stwierdzając jak zwykle filozoficznie: „dajcie mu spokój, z czasem z tego wyrosnie”. Rzeczywiście, leków nigdy więcej nie robiłem, dopiero po kilku latach wziąłem się za pirotechnikę, potem za wina, a ostatnio za nalewki.

Wróćmy do aptecznego laboratorium i leków sporządzanych według recept. Lekarskie grymoły zmieniały się tu w uzdrawiające specyfiki, a to co sporządzono, pakowano w maleńkie opłatkowe saszetki, jeżeli były to proszki, w butelkę, gdy był to płyn - najczęściej obrzydliwy, słodko mdły z ziołowym posmaczkim syrop – czy wreszcie masę, ta najczęściej wpakowana była do wykonanego z cieniutkich drewnianych wiórow pudełeczka. Maści były niemalym utrapieniem w domowej apteczce, gdyż pudełeczko nasiąkało, a potem przeciekało zawartym w maści olejem, a jak już przeciekło, to oczywiście, że płamiło i zostawiało plamy, często niespialne, po jakimś zjadliwym dodatku. Za to taka masę, warta tam, gdzie trzeba, grzała, gdy miała grzać, suszyła, gdy miała suszyć lub jako ichtiolowa była nadzwyczaj skuteczna przy wszystkich stanach zapalnych (o ileż to wbitych, gdzie nie trzeba drzazg, nie wyjętych w porę, „obierało”). Wytwarzano też według dyspozycji lekarskich czopki, sądzę, że nie muszę tłumaczyć do czego służą, nie pamiętam na co był stosowany; wiem że jeżeli miał być aplikowany, za czasu darłem się wniebogłosy.

Wszystkie te aptekarskie wytwory, zamknięte w buteleczkach, opłatkach czy pudełeczkach, oczekiwały dnia następnego na odbiór, miały przeciwieństwo pomocy cierpiącym. Jednak nie zawsze cel był realizowany. W aptece wisiało ogłoszenie informujące, że leki zrobione, a nieodebrane w ciągu dwóch tygodni, będą niszczone, i rzeczywiście były.

W siemniężnej Polsce tamtych lat wszystko było deficytowe, ciągle czegoś brakowało. Tak było z owymi buteleczkami na różne krople, syropy i mikstury. Zamawiając lek, trzeba było przynieść jakąś pustą buteleczkę, a oni w aptece mieli już swoje sposoby na oczyszczenie i wysterylizowanie szkiełka. Jak zwykle zdarzali się żartownisie, którzy do apteki przychodzili z litrową butelką po wódcę, nawet z nieusu-

niętą etykietą i z rozbrajającą szczerością tłumaczyli zdumionej aptekarce, że oni tylko takich używają i że w ich domach innej nie uświadczyz.

Do opakowania z gotowym lekiem przytwierdzano kopię recepty wypisanej - o czym mówiliśmy wcześniej - na pomarańczowym pasku papieru. Przyczepiano gumką recepturką, jakże późniejszą przydatną we wszelkiego typu zabawach, najlepiej do pakowania dużych paczek pieniędzy, oczywiście tych wycofanych z obiegu, wojennych „młynarek”, w których każdy z chłopców w moim wieku miał spory majątek. Oczywiście przed wydaniem aptekarka wszystko starannie sprawdzała, instruując dodatkowo o sposobie używania i dawkowania, a mimo to zdarzały się pomyłki. Więcej, pomyłki stawały się pożywką dla satyryków i tak utkwiła mi w pamięci anegdota, gdy do apteki przyszedł jak zwykle lekko zawiany, dorozkarz z dwoma receptami dla chorej żony i chorego konia. Leki wykonano a na pomarańczowym pasku zapisano (tym końskim): „otworzyć dysk i wlać pół butelki”. Co było dalej, wiadomo, dorozkarz po powrocie do domu (jeszcze po kilku dodatkowych piwach) skrupulatnie zastosował zapisane wskazówki, z tym że zaczął od żony i oczywiście zastosował koński lek i koński sposób dawkowania.

W licznych przeziębieniach stosowano wobec mnie jeszcze inne wymyślne tortury, takie które doskonale rozwijały płuca (sztukę darcia się wniebogłosy opanowałem doskonale), no bo jak inaczej reagować na stawiane bańki, gdy nad człowiekiem pała jakieś ognie, w miednicy w gorącej wodzie grzechocą szklane bańki (a z takich – przysięgam – widziałem, jak dorozkarze na postoju pili, domyślałem się, że nie soczek), a potem przylepiają do chudych pleców i nakrywają po uszy, aby było ciepło (a tu „gorąc” że hej), a na koniec z głośnym cmoknięciem i bólem odrywają, aby podziwiać z dumnym i okrutnym komentarzem: wspaniale naciągnęły! Może i naciągnęły, może i wspaniale, ale moim kosztem!

Kolejną torturą biorącą swój początek w aptece była zakupiona tam butelka terpentyny. Znowu rozgrzewające, tylko tym razem wcierane w stopy, na które wsuwano okropne wełniane, bardzo gryzące skarpety. Jak to wszystko miał człowiek znosić w milczeniu „jak prawdziwy mężczyzna”, niedoczekanie, tylko wrzask był skutecznym antidotum. Nie trzeba dodawać, że taka kuracja przydałaby się bokserowi zrzucającemu wagę przed walką, a nie takiej chudzinie jak ja, zresztą do podobnych wniosków dochodzili później nasi wychowawcy na studenckich obozach wojskowych, którzy też powtarzali z uporem maniaka: „więcej potu na ćwiczeniach, mniej krwi w walce”.

W aptece brała początek jeszcze jedna wymyślna tortura, butelka z tranem. Uf! To dopiero była prze-

prawa! Podejrzewam, że wtedy zaczęły się moje kłopoty ze słuchem, które bliscy przypisują mi po dzień dzisiejszy. Wszelkie wezwania i wołania na codzienną porcję tego świństwa puszczałem mimo uszu i widocznie tak mi zostało. Nie dosyć, że nawoływali, to jeszcze kazali wypić pełną łyżkę tego śmierdzącego rybą tłuszczu, a potem próbowali mnie przekupić cukierkiem (tran plus cukierek – to dopiero ohyda), kiszonym ogórkiem (dobry do śledzia) lub skórką chleba. Nic nie pomagało, najlepsze były własne łzy, a te płynęły na zawołanie. Wreszcie ktoś wpadł na pomysł zainteresowaniem mnie żywotami własnymi wielorybów, a co za tym idzie i wielorybników. W przedwojennych numerach pisma „Morze” i „Morze i Kolonie” oglądałem czarnobiałe zdjęcia upolowanych wielorybów, stojące na brzegu morza kotły, w których wytapiano ten tłuszcz i za każdym razem roił mi się stos butelek z napisem „tran”, w który miały się przemienić. To może zwichnąć psychikę dziecka na całe życie, no nie? Dopiero później, gdy przeczytałem kilka powieści podróżniczych, gdy w wyobraźni polowałem na wieloryby z kruchej łódeczki, w której stałem na dziobie obok dzielnego harpunnika ciskającego celnie uwiązany na linie ostry harpun, a potem pruliśmy fale wzburzonego morza ciągnieni potworną siłą rannego zwierzęcia, nabrałem do tych stworzeń szacunku, ale tranu nie polubiłem, „Moby Dicka” też nie przeczytałem. Ostatecznie wiarę w potęgę tranu podkopała we mnie władza ludowa, która ów wielorybi olej zastąpiła (z powodzeniem) ponoć lepszym - odzyskiwanym z wątróbek dorsza. Polak potrafi!

Od łózka chorego wróćmy do naszej apteki. Podejrzeliśmy, jak panie przyrządzają leki, jak je pakują, a na własnym przykładzie zaprezentowałem ich stosowanie. Jednak to nie wszystko. W kącie stoi waga, już wtedy wiekowa, a dziś mogłaby być ozdobą niejednej kolekcji. Cudeńko z epo-

ki art déco, a może jeszcze wcześniejsze, ze skalą i przesuwanymi obciążnikami na wysoko umieszczonej dźwigni, na której obsługująca pani delikatnie przesuwając ciężarki, zgrzywa dzióbki wskaźników i oznajmia: dwadzieścia kilo i coś tam jeszcze, dobra geś. Do wagi przytwierdzony wskaźnik do pomiaru wzrostu. Jakże wyszukany kształt zakłęty w metalowym, wyskalowanym w centymetrach i calach pręcie. I znowu niczym z delfickiej wyroczeni padało: „sto dwanaście i pół”, i jak tu było zostać wysokim, no jak?

Apteka pełna była tajemniczych obiektów zupełnie nieznanego mi przeznaczenia. Najbardziej fascynował gumowy przedmiot z czarnym korkiem wystającym z szerokiego wlewu. Otóż po serii pytań dowiedziałem się, że to termofor, tylko tyle i aż tyle, i dalej nic nie wiedziałem, ani na co, ani po co. Żyłem w tej nieświadomości dosyć długo i jak mi już przestało zależeć na



Rys. Arkadiusz Zajac

SENTYMENTY

poznanii prawdy, dowiedziałem się, do czego służy, nie dziwicie się, że byłem rozczarowany.

Podobnie tajemnicza była, widoczna gołym okiem, ustawiona na jednej z półek, a wykonana z czerwonej gumy gruszka, ale najbardziej fascynujące było urządzenie stanowiące kombinację rurek, gumowych wężyków i szklanego wyskalowanego pojemnika. W końcu dowiedziałem się, że to lewatywa i znowu rozczarowanie, co to i na co. Znowu lata niepewności, aż wreszcie sam posiadm odpowiednią wiedzę. Tu ujawniła się potęga literatury a konkretnie wiedza i argumentacja samego Haszka, zawarta w nieśmiertelnym „Szwejk”. Wtedy wszystko stało się jasne, zrodziło się jednak następne pytanie, następna wątpliwość – czy w warunkach bojowych używano szklanych elementów czy może istniały wersje polowe wykonane z blachy i gumowych solidnych węży, a wszystko w celu kamuflażu malowane na zielono?

Wszystko to jednak błądło w zestawieniu z „kogutkiem”. Bajecznie kolorowy papierek a ściślej miniaturowa, wielkości zyletki kopertka z wydrukowanym na niej wizerunkiem pięknego piejącego koguta, zawierała proszek na ból głowy. Był to najpopularniejszy środek, który poprawiał samopoczucie, a ściślej usuwał ból głowy, a za ludziami kłopotów nie brakowało, to i kogutki kupowali i zrywali masowo. Bardzo lubiłem, gdy domownicy faszzerowali się tym (prawdopodobnie) świństwem, wtedy moja kolekcja owych papierków pęczniała błyskawicznie. Nawet w jakiejś dziecięcej książeczce było coś o kogutkach i wielki na całą stronę rysunek dorodnego koguta trzymającego pod pachą, czyli skrzydłem, kogutka do zażywania. To była zakazana dziś kryptoreklama, skierowana na dziecięcą wyobraźnię. Oczywiście książeczka była jeszcze przedwojenna, bo niestety nasi okupanci na druk polskich książek nie pozwalali. Po latach miejsce kogutków (już w powojennej Polsce) zastąpiły równie popularne proszki na ból głowy, tyle że „z krzyżkiem”. Pakowane były początkowo w szklaną folkę, później w tekturowo plastikowy listek, a w każdej formie używany masowo.

Z książeczki utkwiał mi w głowie jeszcze jeden „chorobowy” wierszyk, w którym – „pan Termometr zachorował/ najpierw skarżył się, że głowa/ potem że go gardło boli/ że się zrobił melancholik/ wreszcie, że mu spuchła nóżka/ i położył się do łóżka...”, musiałem często chorować, jeśli takich bzdurow nauczyłem się na całe życie.

A potem poszło już dużo łatwiej, swoje odchorowałem i do apteki chodziłem wykupić leki dla innych. Znowu przyglądałem się wszystkiemu, stojąc w długiej, poskręcanej kolejce, patrzyłem na zmieniający się wystrój i nowe medykamenty, widziałem,

jak z półek znikają szklane słoje i butle, szuflady zastępowały półki z coraz większą ilością pudełek i pudełeczek, flaszeczek, słoików, na szybach wisiało coraz więcej informacyjnych ulotek, a i kolejki były coraz dłuższe. Były też wizyty z własnej inicjatywy, najczęściej po siarkę, aptekarka była wyrozumiała, gdy przychodził fafel, który ledwo co odrósł od ziemi i nieśmiało prosił o siarkę na parczy w uszach hodowanego wraz z kolegami królika. Sytuacje wykorzystywali starsi koledzy, wysyłając maluchów po siarkę potrzebną im do wyrobu pęczków kalichloru, wspaniałego środka na wielkanocne strzelanie.

Stojąc w aptecznych kolejkach, zauważałem, mnóstwo rzeczy, których wcześniej nie widziałem. Zauważyłem stolik ze stojącą na nim karafką z wodą i szklanki, zwykle szklanki, nie żadne jednorazówki, które ktoś z obsługi mył, a ludzie często z nich korzystali. Spozrzegłem stojącą na wystawie podświetloną gablotkę z wypisanymi tabliczkami informującymi o nocnych dyżurach aptek, zauważyłem, że zniknęły gdzieś wagi i miarki. Coraz mniej było też wykonywanych w laboratorium leków, nikt nie żądał zwrotnych buteleczek, a w samych lekach zniknęły wielkie opłatkowe kapsułki z wyrabianymi w aptece „proszkami” i pakowane w kolorowe żelatynki niesmaczne proszki. A potem jedna po drugiej zaczęły znikać stare apteki. Wraz z rozbiórka starych budynków zniknęły apteki w drugiej Alei (tradycyjnie zwana od nazwiska dawnego właściciela: u Kozerskiego), apteka w trzeciej Alei mieszcząca się w jednym z małych domków też rozebranych w latach sześćdziesiątych, apteka (Sikory) na Śląskiej. Trochę później rozebrano budynki w Al. Wolności w rejonie dworca kolejowego, a wraz z nimi odeszła kolejna ze starych aptek. Los ten podzieliło jeszcze kilka innych, a mimo to w dzisiejszych czasach nie zauważamy ich braku, są nowe. A w ocalałych, zgodnie z duchem czasu, wymieniano wystawowe okna, wstawiano nowoczesne drzwi, a przede wszystkim stare meble zastąpiono pseudonowoczesną sztafpą, upstrzoną reklamową sieczką.

Naród zapomniał o tak skutecznych i popularnych lekach, jak olej rycynowy na przeczyszczenie, soda na zgagę, jodyna na wszelkie skaleczenia i rany, królicza lub zajęcza skórka na bolące nerki, cukierki słazowe na kaszel, o pijawkach nie mówić... Nawet krople Inoziemcowa wycofano, bo były używką na alkohol i zawsze znalazło się kilku lekomanów nadużywających...

Zbislav Janikowski

Staszek Podobiński (1950-2003)

CHARYZMATYCZNEMU HUMANIŚCIE STANISŁAWOWI PODOBIŃSKIEMU WIELOLETNIEMU REDAKTOROWI NACZELNEMU WYDAWNICTWA WSP W CZĘSTOCHOWIE WSPÓLPRACOWNICY I PRZYJACIELE ANNO DOMINI 2009

Grupa admiratorów Stanisława Podobińskiego, zmarłego nagle Redaktora Naczelnego Wydawnictwa Akademii im. Jana Długosza, ufundowała tablicę pamiątkową, odsłoniętą 5 lutego 2009 roku przy sali Senatu, uwieczniając tym samym fakt nadania Jego imienia agendzie, która była ostatnim miejscem pracy Staszka.

Staszek był jedną z najbarwniejszych postaci WSP, niemal od chwili jej powstania, bo od 1975 roku. Pracował, zanim został powołany przez pierwszego rektora Mariana Jakubowskiego, Instytut Filologii Polskiej, gdzie miał zajęcia do ostatniej chwili. Był stałym gościem biblioteki, pilnie studiującym materiały źródłowe, a przy okazji opowiadającym jej pracownikom niezliczone anegdoty. Bardzo pogodny, ogólnie lubiany kolega, który nie mówił źle o innych, unikając starannie sytuacji konfliktowych. Zawsze uśmiechnięty i życzliwy starał się być wyrozumiałym dla studiującej braci i dla autorów przynoszących swoje prace do wydawnictwa. Umiał słuchać i skupiać uwagę na interlokutorze, co zapewniało Mu niezwykłą sympatię wśród wszystkich, z którymi współpracował.

Staszek, z pochodzenia Góral, miał też ogromną potrzebę wyrażania siebie przez śpiew, co czynił często i przy różnych, czasem zupełnie zaskakujących, okazjach. Śpiewał mocnym głosem, z ışıcie góralskim zacięciem, niesłychanie oddając się treści pieśni, piosenek, przyspiewek. Z tego zamięłowania do śpiewu, języka i folkloru powstał słynny *Wszechnaobfitszy piosennik dla wszystkich*, wznwiony pod tytułem *Wszechnaobfitszy piosennik dla tych, co یش Muzyka „bierze”*, którego nakłady rozszły się jak ışıwie buleczki.

Swoją ışıciową aktywność uzupełniał bywaniem na wernisażach, promocjach książek, odczytach, spotkaniach, o czym później pisał do „Gazety Częstochowskiej”, gdzie miał też stałą rubrykę porad językowych, lub dodatku częstochowskiego „Gazety Wyborczej”. (*Pisał także, w latach 1996-1997, i do naszego dwumiesięcznika – przyp. red. A3*).



Fot. Leszek Pilichowski

Jako człowiek o renesansowych zainteresowaniach lubił sprawdzać się w różnych dziedzinach, a że jedną z ukochanych było językoznawstwo, przystąpił do wielkiego ogólnopolskiego dyktanda, gdzie zajął trzecie miejsce.

Jego pogodny, pełen wrażliwości sposób pochodzenia do ışıcia sprawił, że w trudnych chwilach, kiedy Jego zdrowiu zagrażało niebezpieczeństwo bardzo poważnej choroby, umiał sobie z tym swoim temperamentem i wołą ışıcia poradzić. Myśle, że lubimy takich ludzi – trywialnie mówiąc – „za ışıwota”, choć z pewnością nosił w duszy swoje wątpliwości, porażki i bóle, ale zachowywał je dla siebie, otoczeniu oferując uśmiech i ışıczliwość.

Cieszy, że takim pozostał w pamięci, a grupa niezłomnych przyjacieló postanowiła uczcić Jego oddanie pracy i ludziom.

J. Grochowska



Fot. Leszek Pilichowski

„Pedagogiczny kontekst pokory” Marii Janukowicz

Wydawnictwo Akademii im. Jana Długosza wydało w 2008 roku interesującą, nie tylko tytułem, książkę Marii Janukowicz „Pedagogiczny kontekst pokory”.

Licząca ponad 500 stron praca z obszerną bibliografią jest, najogólniej mówiąc, poważną rozprawą o obecności pokory w wychowaniu i wychowywaniu, różnych dziedzinach życia, a także skutkach jej braku.

Zdaniem Autorki, w rozpędzonym cywilizacyjnie świecie XXI wieku coraz rzadziej odczuwamy potrzebę spokoju i wyciszenia, jaką daje pokora, którą to tezę formułuje następująco:

Współcześnie patrzymy na pokorę jak na postawę, której treścią jest szacunek dla drugiego człowieka, uznanie innych jako ważniejszych od nas samych, uznanie własnej ograniczoności przy jednoczesnej świadomości ludzkiej godności. Głębokie zaufanie do ludzi, pochylanie się nad każdą „ludzką sprawą”, cierpliwe słuchanie, dar zrozumienia drugiego człowieka aż po przyjęcie w milczeniu tego, co niesie nam los. Pokora nie ma genu. Nie ma genów pokory. Tak samo jak nie ma genów pychy. Jest czymś, co zależy wyłącznie od wychowania. Jeśli wychowania nie strywializujemy, lecz uczynimy je procesem wymagającym, to pomożemy odnaleźć się każdej istocie ludzkiej w swoim człowieczeństwie.

Warto skupić się na tych słowach, bo faktycznie na co dzień nie mamy czasu zastanawiać się, czym jest pokora w życiu człowieka, co daje, czego uczy, jak nas zmienia i doskonali, jaki ma wpływ na kolejne decyzje, wreszcie jaki wymiar nam samym określa.

Świat XXI wieku, pełen łatwo dostępnych dóbr, jest niezwykle atrakcyjny i zaborczy dla tych, którzy chcą w nim zaistnieć. Postępująca niemal w ekspresowym tempie technologia daje szansę uczestnictwa w tym świecie wszystkim, którzy chcą coś osiągnąć. Ale to ściśle wiąże się z niebezpieczeństwem supremacji „ja” nad „ty”, która czyni niejednokrotnie relacje międzyludzkie nieludzkimi, o wysokim stopniu egoizmu i egotyzmu. A przecież jak pisze Autorka:

„w każdym człowieku jest tyle potencjalnego dobra, tylko trzeba je w nim przebudzić”.

Praca składa się z trzech, powiązanych ze sobą, części. Część pierwsza, to przedstawiona teoretycznie problematyka pokory w świetle literatury przedmiotu. Część druga zawiera metodologię badań empirycznych, od rozważań dotyczących natury procesu badawczego, na który składają się etapy postępowania badawczego oraz cel badań. Trzecia, najobszerniejsza część, jest częścią empiryczną, w której dokonano jakościowej i ilościowej analizy wyników badań.

Książka wydaje się być nowoczesnym, opartym o historyczną ale i współczesną rzeczywistość, podręcznikiem dla przyszłych pedagogów, pozycją o nieczęsto poruszonym, za to bardzo ważnym i kształcącym temacie. Stanowi przykład faktu obrony edukacji nowego wieku przed konsumpcyjną i hamburgerową cywilizacją i warto do jej lektury zachęcić.

Joanna Grochowska



Talent sztuka talentu



Ryszard Strojec, niestrudzony animator życia muzycznego w Częstochowie, nie ustaje w poszukiwaniu nowych talentów. Jego zdaniem, nasza uzdolniona młodzież potrzebuje wsparcia, stąd konieczność organizowania przeglądów, koncertów, festiwali. Przesłaniem autorskiego programu „Talent szuka talentu” jest odnalezienie młodych, zdolnych wykonawców, życzliwa i merytoryczna nad nimi opieka, a wreszcie umożliwienie im zaprezentowania się przed publicznością. Na naszych fotografiach spotkanie w klubie „Roxy”.



*** Konkurs *** Konkurs***

Dyrektor Zespołu Gimnazjów
im. Marszałka Józefa Piłsudskiego
w Częstochowie
i Redakcja Dwumiesięcznika „Aleje3”
ogłaszają

*konkurs
fotograficzno - literacki
dla uczniów gimnazjów*

Częstochowa malowana słowem i obrazem

Do konkursu mogą przystępować uczniowie indywidualni i dwuosobowe zespoły uczniowskie, które przedstawią fotografie wraz z własnym krótkim tekstem literackim (prozą lub wierszem). Zdjęcia mogą przedstawiać dowolnie wybrane obiekty z terenu miasta i najbliższej okolicy, a tekst powinien nawiązywać do fotografii

Zdjęcia powinny być w formacie .jpg o rozdzielczości minimum 300 dpi, tekst o maksymalnej objętości do 2500 znków należy przygotować wyłącznie w formie elektronicznej (płyta CD) i nadsyłać do redakcji pisma „Aleje 3” (Częstochowa, Aleja NMP 22) lub do sekretariatu szkoły (Częstochowa, ul. Krakowska 29) w terminie

do 15 września 2009 roku.

Prace powinny być podpisane godłem lub pseudonimem; należy do nich dołączyć opatrzoną tym samym godłem zamkniętą kopertę, w której znajdą się imię i nazwisko autora.

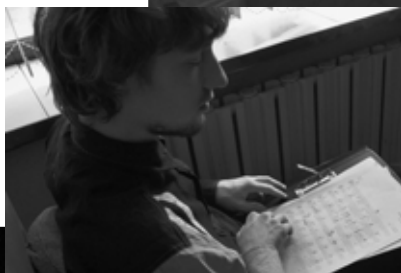
Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi do 30 września 2009 r.

Na zwycięzców konkursu czekają cenne nagrody książkowe oraz możliwość publikacji w piśmie „Aleje 3”
Najlepsze prace zostaną zaprezentowane na specjalnej wystawie w Gimnazjum nr 6

FESTIWAL

II FESTIWAL DOBREJ PIOSENKI im. Kaliny Jędrusik „Kalinowe noce, Kalinowe dni” w Częstochowie

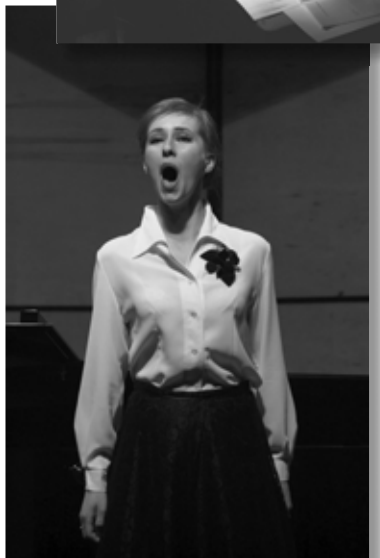
Przesłuchania.
Trema.
Groźne Jury.
Nadzieje.
Stres.
Oklaski.
Szczyście
Dla wszystkich?



FESTIWAL

KONKURS WOKALNY im. Jana, Edwarda i Józefiny RESZKÓW w Częstochowie

Przesłuchania.
Trema.
Groźne Jury.
Nadzieje.
Stres.
Oklaski.
Szczęście.
Dla wszystkich?



WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 13

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

GŁOS POPULI

Od czasu do czasu docierają do nas wypowiedzi Czytelników. Wydaje się, że „Worek” nie spełnia oczekiwań odbiorcy, bywa bowiem określany jako głupi, niepoważny i zawierający wydumane informacje. Nie możemy pozostać obojętni na krytykę, podjęliśmy zatem decyzję o zmianach w naszej rubryce. Przede wszystkim – czas skończyć z tą niepoważnością, dlatego od następnego numeru będziemy publikować wyłącznie nekrologi oraz relacje ze spraw sądowych, w które uwikłani są częstochowscy ludzie kultury. Od mamy też głos artystom, by pokrótce, w granicach 600 znaków, opisali powody własnej wielkości.

A TERAZ COŚ Z ŻYCIA

Artyści poruszają się w wyższych sferach egzystencji, niż zwykli śmiertelnicy. Mimo to, odbiorcy „Worka”, zarzucając, iż informacje są wydumane, najwyraźniej domagają się czegoś bliższego życiu. Proszę bardzo. Jakis czas temu znany częstochowski malarz widziany był na poczcie. Trzymał w ręku awizo, więc zapewne przybył odebrać paczkę. Co więcej, otrzymał ją i wyszedł. To niezwykle zdarzenie można rozpatrywać na różne sposoby. Nasz reporter, przykładowo, jest skłonny przypuszczać, że awizo i paczka to tylko kamuflaż, a naprawdę malarz udał się na pocztę, aby uzyskać inspirację do obrazu o tematyce apokaliptycznej.

PLENERY SIĘ PRZYDAJĄ

Atutem naszego regionu, a częściowo i samego Miasta, są krajobrazy. István Zbcosóny kręci film na częstochowskim Wapienniku. „Beta Pietoris” to science fiction nawiązujący do klasyki gatunku z lat 50. i 60. Teren byłego kamieniołomu zagra krajobrazy planety położonej w układzie drugiej gwiazdy w konstelacji Malarza. Adam Korbasiewicz zagra jednego z kosmonautów, którzy awaryjnie lądują na tej planecie i napotykają rasę obcych istot, zajmującą się wyłącznie uprawianiem sztuk plastycznych. Mieszkańcy globu zmuszają bohaterów do nieustannego pozowania i próbują wyciągnąć od nich subwencje. Podobno ma też być wątek miłosny, ale reżyser odmówił zdradzania szczegółów scenariusza.

PROMOCJA JAK PROMOCJA...

Kontrowersyjny historyk Antoni „Glizda” Gąsienica przybył do Częstochowy promować najnowszą książkę: „Lakiernicy i spawacze. Szkice biograficzne radzieckich działaczy literackich 1928-1956”. Spotkanie z czytelnikami zaplanowane zostało, ze względów bezpieczeństwa, przy ul. Polnej (Zacisze). W rejon promocji książki skierowano patroly policji i straży miejskiej oraz kursantów Szkoły Pożarnej. Środki ostrożności okazały się jednak zbędne. Gąsienica rozdawał autografy, odpowiadał na pytania i zapowiedział kolejną książkę: „Historia wásów”.

Efektom dyskusji nad „Lakiernikami...” było jedynie przerczanie się obelgami przez oponentów. Ech, starzeje nam się „Glizda”. Gdzie te czasy, kiedy jego „Historia ZSRR w trzech tomach” (tytuły tomów nie nadają się do przytoczenia) wywoływała zamieszki połączone z miotaniem kamieni, pościgami samochodowymi, gwałtem i zniszczeniem mienia?

ZIMA DOPISAŁA

W lutym mieliśmy wyjątkowo obfite, jak na ostatnie lata, opady śniegu. Jak przełożyły się one na życie kulturalne Częstochowy? Z pewnością śnieżne pejzaże i zasy „po kolana, po pas, po szyję” mogą stanowić niewyczerpane źródło inspiracji dla artystów. Dodatkowy aspekt architektoniczno-urbanistyczny polega tu na tym, że częstochowianie przez te najbardziej zimowe tygodnie mieli okazję cofnąć się w przeszłość i wyobrazić sobie, jak wyglądało nasze miasto przed ustanowieniem miejskich służb drogowych. Poza tym, jak donosi nasz olsztyński korespondent, u stóp zamku odbywała się tradycyjna „literacka sanna”, czyli skanie na nartach ze wzgórz w stylu drastycznie odmiennym od dokonania Adama Małyszka. Znaczący, zima jest potrzebna.

MINIMALIZM W NATARCIU

Ostatnio w częstochowskim teatrze wystawiono sztukę minimalistyczną. Podobała się, więc czemu by nie pójść dalej tym tropem? Proponowany jest spektakl „Jakkolwiek gdyby więc teraz” według scenariusza Krzysztofi Nyk. Aktorzy siedzą nieruchomo na scenie, nago, i nie nic mówią. Nie ma muzyki, scenografii ani oświetlenia. Dzięki temu można się skupić wyłącznie na niczym niezakłóconym przesłaniu sztuki. No i przedstawienie w sam raz na kryzys: jest praca dla aktorów, a na wszystkim innym jest oszczędza.

CO SIĘ WYDAJE

Undergroundowe wydawnictwa w naszym mieście mają się dobrze. Dom Upowszechniania Prozy Autorskiej wydał ostatnio powieść Wacława Hiniczka „Passul”. Opowiada ona o pewnym antysemitce, który do tego stopnia nienawidził Żydów, że trudnił się własnoręczną produkcją wadliwych zwójów Tory. Uwagę zwraca również, wydany przez Zajączek Publishing, kryminał Grzegorza Hadruda „W tym tygodniu nie będzie czwartku”. Natomiast mało prawdopodobne, aby w naszym środowisku zdobył popularność Bernard Ngicela i jego – skądinąd ciekawa – autobiografia „Obywatel Bantustanu”.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Pelengowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 17 kwietnia odbędą się koedukacyjne zajęcia praktyczne „Zrób sobie suknię wieczorową”, prowadzone przez Studio Ubioru Artystycznego „Łachman Krwawy”. 29 kwietnia natomiast prof. Karlheinz Gugulus poprowadzi sympozjum „Trzy historie, jeden Częstoch: jak napisać ciekawą biografię postaci, o której prawie nie wiadomo”.



Fot. Leszek Plichowski

